NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 15 lipca 1911. | Nr. 28.

Katastrofa w Tatrach.

(Treść na str. 2).



Nr. 28. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Goście z Kaukazu w Krakowie. — Powódź w Kołomyi. — Polskie gimnazyum na kresach wschodnich. — Uroczystość strażacka w Rosprze. — Zagadka embryologiczna. — Klub polskich ludowców.

Nowi posłowie do parlamentu z Galicyi.

Katastrofa w Tatrach.

(Do illustracyi tytułowej).

Rok rocznie notują kroniki pism codziennych po kilka a nawet i kilkanaście ofiar taternictwa, które w czasie wycieczek w niedostępne okolice górskie znajdują ciężkie kalectwo, a niejednokrotnie i śmierć. Przyczyną jest najczęściej zbytnie zaufanie w swe siły, najodważniejszy bowiem turysta nie powinien się puszczać samopas w nieznane mu okolice, gdzie na każdym kroku grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Zapominają jednak o tem, lekceważą sobie rady i przestrogi doświadczonych i zamiast podniosłych wrażeń znajdują śmierć lub kalectwo.

Podobny wypadek wydarzył się z końcem czerwca w Zakopanem. Na wycieczkę w zachodnie Tatry wybrało się dwu turystów, panowie Ludwik Koziczyński i Jenne, obaj budowniczowie ze Zabrza na Śląsku pruskim. Obrali drogę w stronę Wielkiego i Małego Rohacza w głównym grzbiecie Tatr liptowsko-orawskich, wyruszyli zaś sami, bez przewodnika. Wycieczka na te szczyty jest obecnie bardzo niebezpieczna, gdyż śnieg i lód pokrywa w wielu miejscach zbocza i urwiska skalne. Wogóle ta część Tatr jest bardzo rzadko zwiedzana przez turystów.

Gdy wycieczkowcy nie powrocili po trzech dniach, wyruszyła na poszukiwania ekspedycya pogotowia ratunkowego, pod wodzą niestrudzonego Maryusza Zaruskiego. Po całodziennem mozolnem poszukiwaniu znaleziono obok bocznej ściany Rohacza zwłoki Koziczyńskiego z rozbitą czaszką. Jak ślady wskazują, spadł nieszczęśliwy turysta z wysokości 390 metrów i zabił się na miejscu; obwiązany był postrzępioną liną, która pękła w czasie wspinania się w górę. Po przeniesieniu szczątków zmarłego w bezpieczne miejsce, pogotowie udało się w dalszą drogę celem poszukiwań za drugim turystą, wszelkie jenak usiłowania, powtarzane kilkakrotnie, spełzły na niczem. Dopiero we czwartek w dniu 6 lipca odnaleziono zwłoki ś. p. Jennego na przeciwnej stronie Rohacza Ostrego, straszliwie zmasakrowane. Głowa była formalnie zmiażdżona, noga urwana, całe ciało pokryte niezliczonemi ranami. Spadł on z wysokości 400 metrów i zabił się na miejscu.

Zwłoki ś. p. Jennego przeniesiono na stronę węgierską i pochowano w Zubercu obok zwłok ś. p. Koziczyńskiego.

Illustracya nasza, sporządzona według nadesłanego nam szkicu, przedstawia chwilę natrafienia u stóp Rohacza Ostrego na szczątki nieszczęśliwego turysty ś. p. Jennego.



Chór kościelny w Olborzu: Członkowie chóru mięszanego.

Chór kościelny w Olborzu.

Każda niemal parafia, zwłaszcza w miastach mniejszych i wsiach, posiada własny chór, wykonywujący pieśni nabożne podczas uroczystości kościelnych i nabożeństw. Chórów tych istnieje bardzo wiele zarówno w Galicyi jak w Królestwie polskiem, a członkowie ich rekrutują się z pośród ludności miejscowej.

Jednym z najliczniejszych chórów takich jest chór mięszany przy kościele parafialnym w Wolborzu, dekanatu piotrkowskiego. Dzięki opiece kilku osób i umiejętnemu kierownictwu rozwinął się ten chór bardzo pięknie i doskonałem wykonaniem pieśni religijnych przyczynia się do podniesienia nastroju każdego nabożeństwa.

W ubiegłym tygodniu upłynęło pięć lat istnienia chóru kościelnego w Wolborzu i z tej okazyi członkowie jego wspólnie się fotografowali. Zdjęcie to zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Powódź w Kołomyi.

W nocy z piątku na sobotę zeszłego tygodnia, po kilkudniowej słocie przeplatanej burzami, wezbrały wszystkie wody na Pokuciu tak znacznie, że sprawiły powódź, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Najdotkliwiej dała się ona we znaki Kołomyi, stolicy Pokucia, przez którą płynie do Prutu kilka małych potoczków. Z tych wezbrał najsilniej osławiony „Czarny Potok“, dotąd nieuregulowany, będący rok rocznie klęską mieszkańców, cóż dopiero w czasie ogólnej powodzi.

Cała niższa połowa miasta, obejmująca dzielnicę kucką i nadwórniańską, stanęła pod wodą, która przybyła o godzinie 2 nad ranem w sobotę. Najwyż-



Goście z Kaukazu w Krakowie Uczniowie gimnazyum w Batumie, którzy w czasie wycieczki na zachód bawili i w Krakowie.

szego stanu dosięgła między 7 a 8, zalawszy wiele niżej położonych domów powyżej okien. Mieszkańcy chronili się na dachy lub uciekali ku wyżej położonym częściom miasta, patrząc ze zgrozą, jak części ich zabudowań unosi woda. Ulice: Mickiewicza, Młyńska, Staromiejska, Hetmańska, Chołoniewskich, Bednarska przedstawiały jakby potężnie rozwinięte strumienie o licznych bocznych dopływach, wpadających niemal z każdego podwórza przyległych domów. Na



Zgon byłej królowej: Ś. p. królowa babka portugalska Marya Pia.

falach swych niosły części mostów, parkanów, belek i t. p. Wysłane natychmiast przez magistrat wozy przewozowe, celem ułatwienia komunikacyi ze śródmieściem, nie na wiele się przydały, gdyż możebnem było jedynie przewozić ludzi w dół ku Prutowi, podczas gdy ku miastu przewóz wskutek głębokiej wody i niesłychanego prądu, okazał się wręcz niemożliwym.

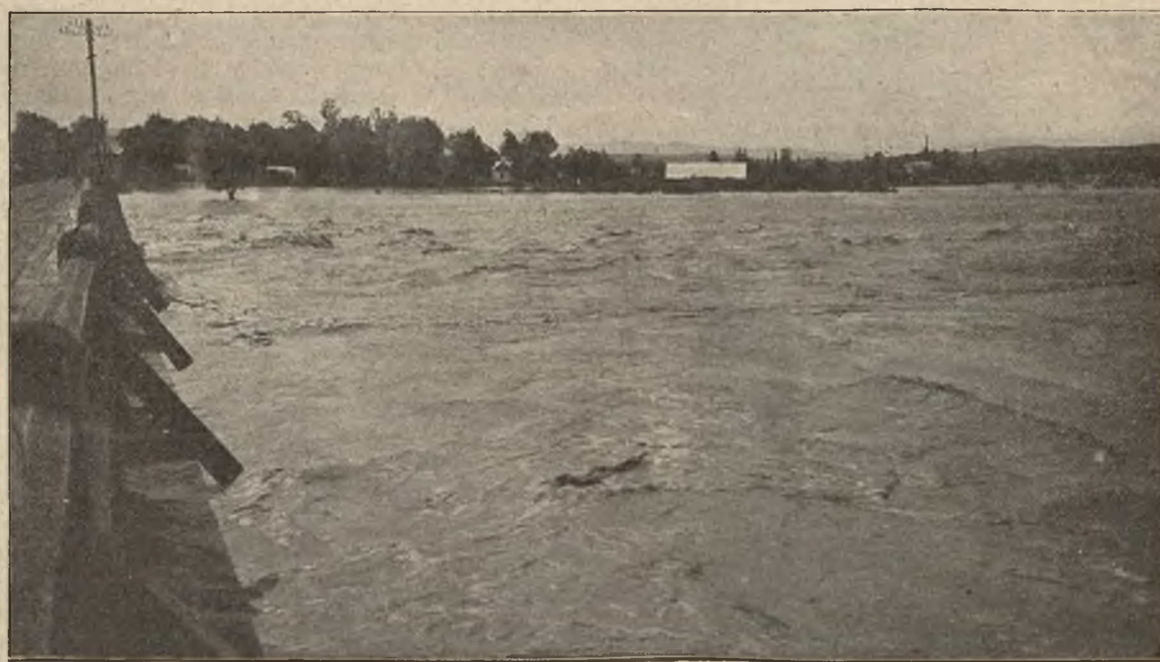
Szkody wprost nieobliczalne, na szczęście strat w ludziach i bydle nie było żadnych.

Najgroźniejszy widok przedstawiał sam Prut, który przekroczył daleko zwyczajny swój obszar zalewu. Połączył się z młynówką Gartenbergów poniżej mostu w Werbiążu i zalał doszczętnie t. zw. „Zarynek“. Po opadnięciu wody okazało się nazajutrz, że całe koryto młynówki zasypał ryniakami o przeciętnej wielkości dyni a środkiem „zarynku“ utorował sobie nowe koryto. Szkoda wyrządzona firmie Gartenberg i Ska, właścicielce młynówki, wynosi kilkadziesiąt tysięcy koron.

Ruch kolejowy niemal na wszystkich szlakach przerwany.

Wystawa prac uczniów szkoły wydziałowej w Tarnopolu.

Miłą niespodziankę w czasie ogólnego rozgorączkowania wyborami, urządziła w stolicy Podola dyrekcya szkoły wydziałowej męskiej im. Konarskiego mieszkańcom Tarnopola, urządziwszy wystawę prac uczniów tego zakładu. W olbrzymiej



Powódź w Kołomyi: Fale Prutu, dosięgające wysokości mostu pod Werbiążem.

sali na I piętrze rozmieszczono na ścianach i stołach rysunki wolnoręczne, akwarelowe, rysunki geometryczne, ćwiczenia zasadnicze obróbki drzewa t. j. ćwiczenia w struganiu, łączeniu, przecinaniu, wycinaniu dłutem i t. d. oraz liczną kolekcyę wyrobów gotowych, jak ramy do obrazów i ramki do fotografii gładko politerowane, wypalane, malowane i t. d., kasetki, puszki, talerze i t. p. sprzęty pokojowe i eleganckie potrzeby kuchenne z drzewa. Rysunki wolnoręczne i akwarele, przeważnie zdejmowane z naturalnych modeli, wyróżniają się sumiennem wykonaniem konturów, wybornem uwydatnieniem światła i cieni, oraz barwami nie rażącemi smaku artystycznego. Kierownikami tej nauki są dyrektor szkoły Janiszewski i nauczyciel Serafinowicz. Oryginalne są w przedstawieniu obrazowem akwarele, wykonane pod kierownictwem dyrektora J., pod tytułem: „Fizyka i chemia w obrazach“. Prace uczniów z III klasy p. Serafinowicza kwalifikują się do oprawienia w ramki, celem ozdobienia mieszkań nawet wybrednych znawców.

Rysunki geometryczne, wykonane pod kierownictwem nauczyciela Afterczuka, świadczą o systematycznej pracy tegoż z jednej strony a sumienności i zrozumieniu ze strony młodocianych „geometrów“.

W liczną kolekcyę prac ręcznych w drzewie i kartonie wykonanych, bądź to w studya początkowe, bądź we wyroby gotowe, włożył nauczyciel p. Żłobicki cały zasób wiedzy i systematycznej metody, uczniowie ze swej strony cierpliwość w wykonaniu.

Ogólne kształty wyrobów oraz zdobnictwo tychże przeważnie modernistyczne, harmonijne w konturach i apreturze. Na wzmiankę zasługuje w zakresie wyrobów gotowych praca woluntaryusza i absolwenta szkoły przemysłowej we Lwowie p. Bukszowanego, który jakkolwiek mechanik z zawodu, z amatorstwa zajmował się współpracownictwem w warsztatach szkoły i wykonaniem wielu przedmiotów.

Wystawa ta jest znakomitem świadectwem sumiennej pracy grona naczycielskiego, które przy szczupłych funduszach doprowadziło do pięknych rezultatów i udowodniło naocznie, ile można zdziałać przy dobrych chęciach.

Zdobyte uznanie, jakiego nie szczędzili zwiedzający wystawę, zachęci niewątpliwie i grono nauczycielskie i uczniów w przyszłym roku do wytrwałej i owocnej pracy nadal.

Załączona w piśmie naszem rycina, przedstawia jedną partyę wystawy w szkole im. Konarskiego i grupę wykonawców.

Polskie gimnazyum na wschodnich kresach.

(Do illustracyi na str. 8).

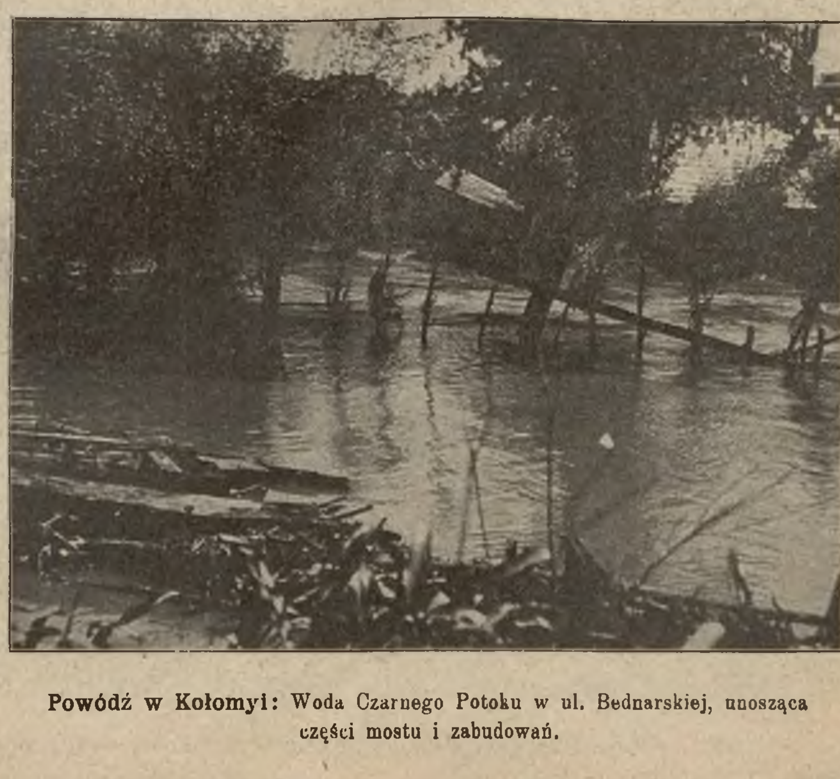
W starem polskiem mieście Zbarażu, w mieście, położonem na wschodnich kresach naszego kraju, była ludność pozbawiona od przeszło stu lat szkoły średniej. Niegdyś istniało tam gimnazyum rządowe, z powodu jednak rozmaitych okoliczności, niesprzyjających jego rozwojowi, zostało ono przeniesione do Brzeżan.

Dopiero z początkiem ubiegłego roku szkolnego grono wybitniejszych mieszkańców Zbaraża zawiązało z pośród siebie komitet i mając do dyspozycyi niewielki fundusz, otworzyło na razie I klasę prywatnego gimnazyum realnego z językiem wykładowym polskim.

Lokal na pomieszczenie klasy i kancelaryi ofiarował bezinteresownie ks. gwardyan Szpila w klasztorze OO. Bernardynów, na pokrycie zaś niezbędnych wydatków, na opłacenie sił nauczycielskich,



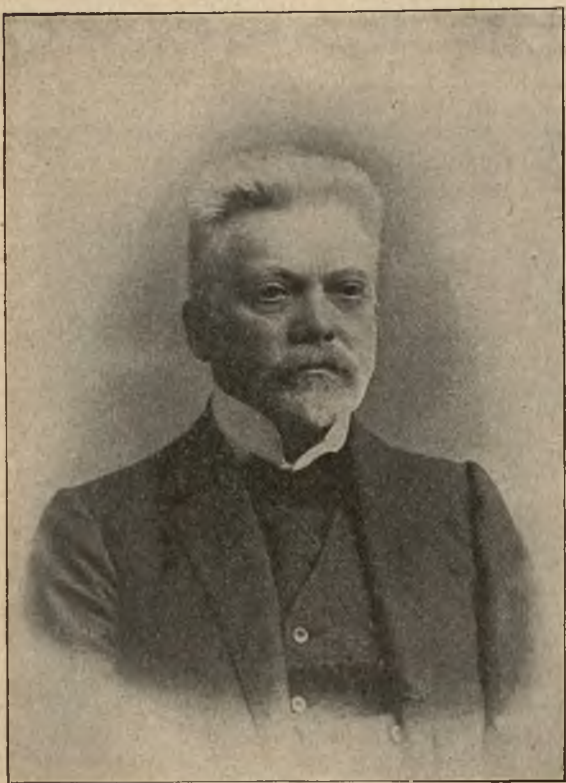
Powódź w Kołomyi: Ulica Mickiewicza, zamieniona w koryto rwącej rzeki.



Powódź w Kołomyi: Woda Czarnego Potoku w ul. Bednarskiej, unosząca części mostu i zabudowań.

zebrano pieniądze w postaci dobrowolnych datków ogółu mieszkańców. Przy poparciu zaś władz i kilku osobistości uzyskano dla tego zakładu prawo publiczności.

Że założenie szkoły średniej w Zbarażu było bardzo pożądane, dowodzi najlepiej wielka ilość uczniów,



Nowi rektorowie we Lwowie: Dr. Stanisław Królikowski, nowy rektor Akademii weterynaryi.

którzy zgłosili się, aby korzystać z możności kształcenia się w miejscu.

Po całorocznej pracy nastąpiło w dniu 1 lipca b. r. uroczyste rozdanie świadectw. Dzień ten był w Zbarażu pamiętny, a w uroczystości prócz uczniów i rodziców ich oraz grona nauczycielskiego, wzięło udział całe obywatelstwo miejscowe.

Grupę uczestników uroczystości wraz z uczniami, uczenicami i nauczycielami przedstawia dzisiejsza rycina.

Klub polskich ludowców.

(Do illustracyi na str. 9).

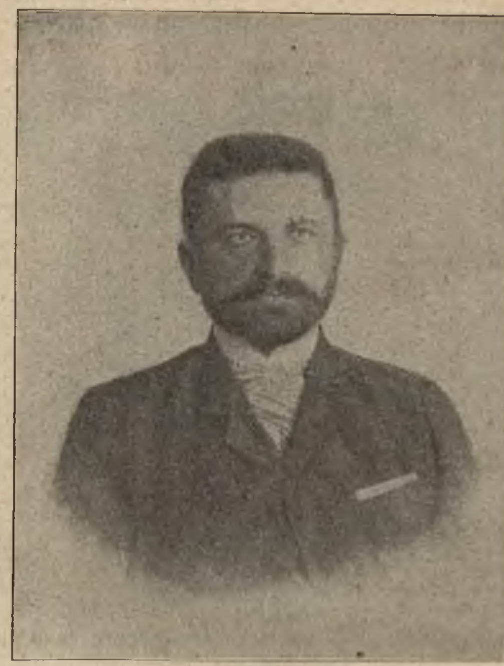
Wybory tegoroczne do Rady państwa przyniosły ogromne zwycięstwo polskiemu stronnictwu ludowemu, które zdobyło nietylko większą ilość mandatów, niż miało w poprzedniej kadencyi, ale nadto wprowadziło do parlamentu grono ludzi wyrobionych fachowo i politycznie. Prócz zasłużonego prezesa i przywódcy stronnictwa posła Stapińskiego, powrócili dzielni włościanie Bojko i Średniawski, przybył zaś jeden z najinteligentniejszych włościan galicyjskich, znany działacz i organizator Witos. Z inteligencyi uzyskali ponownie mandaty dr. Biały i Ruebenbauer, ponadto weszły takie siły, jak radca dworu inż. Kędzior, znakomity znawca sprawy dróg wodnych, hr. Lasocki, wytrawny prawnik, dr. Wróbel, znawca kolejnictwa, sędzia dr. Banaś, hr. Rey, zasłużony marszałek pow. pilzneńskiego, inż. Angerman, pełen energii przemysłowiec, wreszcie Włodzimierz Tetmajer, człowiek wysokiej kultury, znający bardzo dobrze potrzeby ludu wiejskiego, z którym tak blisko jest związany i wśród którego od lat tylu żyje.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Krakowie zjazd wszystkich nowo wybranych posłów stronnictwa ludowego, na którym dokonano ukonstytuowania się klubu. Prezesem wybrano prezesa stronnictwa posła Jana Stapińskiego, wiceprezesami pp. Bojkę i Średniawskiego, sekretarzem p. dra Banasia, zastępcą p. Smiłowskiego. Ponadto przeprowadzono dyskusyę nad sytuacyą polityczną w kraju i państwie oraz zastanawiano się nad wyborem prezesa Koła polskiego. Klub polskiego stronnictwa ludowego oświadczył się za kandydaturą dr. Bilińskiego, którego energia i doświadczenie polityczne zapewnią Kołu dawne znaczenie i wpływ w parlamencie.

Wogóle spodziewać się należy, że obecny skład Koła polskiego pozwoli reprezentacyi naszej zająć w nowym parlamencie jedno z pierwszych miejsc, posiada bowiem wśród swoich członków ludzi wysoko ukwalifikowanych, mogących odegrać wybitną rolę w pracach komisyjnych, mogących też decydujący wpływ wywrzeć na tok niejednej sprawy. Pozbycie się zaś żywiołów nieużytecznych a nawet ze względu na powagę Koła szkodliwych, wyjdzie z pewnością na dobre nietylko klubowi polskiego stronnictwa ludowego ale i całemu Kołu a tem samem krajowi naszemu.

Ustąpienie dzielnego dyrektora.

Znany w szerokich kołach Lwowa i w sferach ziemiańskich dyrektor Akademii rolniczej w Dublanach, dr. Mikułowski Pomorski, pod którego rządami najwyższa polska szkoła rolnicza do tak wspaniałego



Ustąpienie zasłużonego dyrektora: Dr. Mikułowski-Pomorski, ustępujący dyrektor Akademii rolniczej w Dublanach pod Lwowem.

doszła rozkwitu, opuścić ma niebawem zajmowane w Galicyi stanowisko i przenieść się do Warszawy.

Niewątpliwie ważne powody skłoniły dyrektora Pomorskiego do powzięcia takiej decyzyi. Niemniej wiadomość o tem przyjęto w Akademii dublańskiej i we Lwowie z ogólnym żalem. Dyrektor Mikułowski Pomorski ceniony był nietylko w kołach zawodowych jako wybitny profesor i dzielny kierownik Akademii, ale cieszył się ogólnym mirem z powodu zalet serca i charakteru. Zwłaszcza uczniowie otaczali go zawsze szczerą sympatyą, oni też najszczerzej żałują ustąpienia zasłużonego dyrektora.



Wystawa prac uczniów szkoły wydziałowej w Tarnopolu: Roboty uczniów szkoły wydziałowej w Tarnopolu, zebrane na wystawie.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

9)

— I cóż on na to?

— Co on na to? On potrzebował się roześmiać i pedział: ty głupi stary, ty szedź czycho, bo tobie ja zrobię nieszczęszcze. Ny! to ja siedzę czycho, bo on mi może zrobić wielkie nieszczęszcze. Pan wie, do naszego miasta przyjechało dużo żidków z Rosyi, tych Litwaków. Nu, oni są mądre, bardzo mądre, ale złe. Straśnie złe. — To mój Icek ciągiem z nimi gada. On sam stał się Litwak, cały Litwak. Nu... wielmożny pan wie, my żidki to tu dawno siedzimy, może sto, może tysząc lat. Skąd ja mogę wiedzieć, jak dawno w Polsce żidki siedzą. Tego nikt nie wie, bo to dawno buwało. Ny... ale my siedzimy, handlujemy zbożem, drzewem, czem kto może, bo każdy też potrzebuje żyć. I nam buło dobrze i katolikom dobrze. Ale tera przyszły te Litwaki i gadają: co wy głupi, to wszystko jest wasze, tu katołyki nic nie mają, to wasza jest ziemia i miasta i wsie, wszystko wasze.

Wy, padają, myślicie, co jest jaka Polska? niema żadnej Polski, to jest żidowska żemia. Katołyki to wasze sługi. Ny, co wielmożny pan powie? Oni tak gadają, a ja sobie myszle, jak to może bycz? Gdzie się podzieją katołyki i dla czego Polski nie ma? Czy to Polska, to nic? Ja stary jestem, mój ojciec też żyd, mój dziad i mój pradziad, ja wielmożny panie kocham te żemię, tę Polskę, bom je sze tu urodził i tu umrę, a oni te Litwaki gadają, co niema Polski. Jak to może bicz?

Tak stary Szloma gadał, a Stanisław ściskał mu rękę z rozczuleniem, bo widział przed sobą typ starego żyda polskiego, powoli wygasający pod wszystko porywającym napływem nowych żywiołów. Powoli rozmowa z tego toru ogólnego przeszła znów na pana Jasińskiego, z którym syn Szlomy, Icek, oraz głowa Litwaków w X. Michaił Srulowicz Mojsiejew w ścisłe weszli stosunki.

Ta wiadomość, oraz doniesienie Orczykiewicza, że Jasiński poznał się z Wojtkiem Mecherzyną i bywa na schadzkach w lesie, dała dużo Stanisławowi do myślenia.

XII.

Termin zjazdu spadkobierców, wyznaczony przez testament ś. p. Teodora Kozłowskiego, zbliżał się a jeszcze nie wszyscy przybyli. Pan Stanisław pragnął, żeby się to jaknajprędzej odbyło, żeby nie był zmuszony pełnić obowiązków gospodarza wobec takich osobistości, jak koleżski asesor, jak pan Adam Jasiński i pani Zenobja Kapuścińska ze swym synkiem Ferdziem.

Chłopak ten był prawdziwą plagą wszystkich we dworze w Górach. Siergiej Bolesławicz zżymał się na niego i gdzie mógł, zdybawszy go sam na sam, darł za czuprynę, co wywoływało zawsze straszną burzę ze strony matki, broniącej swego „synka sierotki“. Ferdzio przytem szczególnie upodobał sobie chudą, marną brzydką figurę asesora i ciągle mu płatał różne, a zawsze bolesne figle. Pewnego dnia nawsadzał w krzesło, na którem zwykle Siergiej zasiadał do śniadania, mnóstwo igieł i gwoździ, tak że biedny asesor, mieszcząc się zamaszyście na tem krześle, zerwał się zeń jeszcze prędzej, krzycząc boleśnie, przyczem jego liche spodenki ciężko na tej próbie ucierpiały. Scena ta wobec komicznego przerażenia i gniewu, malującego się na twarzy asesora, wobec gwałtownego oburącz uchwycenia się za obrażoną część ciała, wobec nakoniec skandalicznie podartych „niewypowiedzialności“, wywołała ogólną wesołość u obecnych, nawet poważny i posępny zawsze Antek Wiśniewski nie mógł się powstrzymać od bolesnego skrzywienia ust, co u niego miało uśmiech oznaczać.

Tego rodzaju awantury powtarzały się ciągle, bo chłopak był rozłobuzowany i zły, istne dziecko ulicy wielkiego miasta. Nie było gniazda ptasiego, któregoby nie wybrał, nie było kota w domu, któremuby nie przywiązał pęcherza z grochem, psa, któregoby nie zaczepił i na któregoby kamieniem nie rzucił, słowem był, powtarzamy, istną plagą ludzi, zwierząt i rzeczy. Włócząc się wszędzie, wszędzie zaglądając i myszkując, znalazł razu pewnego w stajni ukrytą przez parobków flaszkę z gorzałką. Nie wiele myśląc, gorzałkę wypił, resztę wylał, a natomiast butelkę napełnił własnemi płynnemi wydzielinami.

Sam zaś upił się i położył się gdzieś w krzakach spać, tak że go długi czas nie było i mama Zenobja straszliwego krzyku narobiła, że jej „synek sierotka“ zginął, że go może zabili lub się w stawie utopił. Sądny dzień się zrobił w Górach. Kapuścińska oskarżała wprost Siergieja Bolesławicza, że on jej Ferdzia zatracił, przyskakiwała do niego z pięściami, gotowa mu oczy wydrapać, a biedny asesor, który musiał mozolnie przez kilka godzin w zamknięciu pracować igłą, by swe nieszczęsne spodenki do porządku doprowadzić, cały czerwony od gniewu, przestraszony, sumitował się, że nie widział Ferdzia na oczy:

— Nikt, tylko ty, obieżyświacie zatraciłeś mi synka... nikt, tylko ty... zara jadę do strażnika ze skargą. Kuzynek niech każe zaprzęgać, o! ja nieszczęśliwa, o mój synku sierotko!

Stanisław musiał ją uspokajać, wdał się w to i pan Adam Jasiński i gniewnie spojrzawszy na babę syknął:

— Cich pani bądź, bo... wiesz, co może być?

— Ale panie adjunkcie dobrodziejuczku...

— Małczat'!

Rozkaz ten uspokoił panią Zenobję, ile że Stanisław rozesłał wszystką służbę, by poszukiwała zaginionego gagatka. Znaleziono go wkońcu i przyprowadzono do mamy na pół jeszcze pijanego i skończyło się na tem, że mama wytargała za szczecinowatą czuprynę chłopaka, a potem widząc, że patrzą na to obecni, poczęła go czule ściskać, łzy wylewać z jednego oka i udawać rozmiłowaną i mdlejącą matkę, które to pieszczoty oszołomiony i napół nieprzytomny chłopak, przyjmował zrazu obojętnie, a potem znudzony niemi oburknął się i krzyknął swoje:

— Odknaj mama do pioruna, mnie się spać chce.

Ale historya ta miała jeszcze inny skutek. Stanisław, który słyszał, jak pan Adam Jasiński groźnie krzyknął na panią Zenobję: małczat'! oburzył się tem bardzo i zbliżywszy się na osobności do pana adjunkta czy „wolnonajemnego“, zwrócił mu uwagę na niewłaściwość takich wyrażeń.

— Daruje pan — mówił — ale dopóki ja jestem gospodarzem w tym domu, nie mogę pozwolić na to, by takimi wyrazami traktowano moich gości.

Pan „wolnonajemny“ przepraszał, usprawiedliwiał się, ale widocznie był niezadowolony z tego i odchodząc syknął między zębami:

— Czekaj burżuju, zapłacisz mi ty za to.

Lecz nie skończyła się na tem cała ta awantura. Parobcy wróciwszy na południe z pola i znalazłszy w butelce zamiast wódki cuchnący płyn, podnieśli głośny krzyk i na razie nie wiedząc, kto im takiego figla wypłatał, poczęli się wzajemnie oskarżać, a nawet przyszło między nimi do bijatyki. Wszakże ktoś bystrzejszy przypomniawszy sobie, że znaleziono Ferdzia pijanego i śpiącego, na niego zwrócił podejrzenie. Odtąd Ferdzio był przedmiotem nienawiści całej służby dworskiej, a nawet parokrotnie się zdarzało, że ten i ów cichaczem potrącił go lub kułakiem poczęstował, jeżeli wiedział, że nikt tego nie spostrzeże, co jednak zawsze wywoływało krzyki i nowe awantury.

Wszystko to nadzwyczajnie przykrzyło się Stanisławowi. Jego natura kontemplacyjna, zagłębiona w marzenia, w bolesne rozmyślania o śmierci, lubiła spokój, ciszę, a tu cały dom wrzał nieustannymi krzykami Ferdzia i jego godnej mamy. Teraz to Stanisław niecierpliwił się i wzdychał do jej chwili, w której wszyscy sukcesorowie się zjadą i cała ta sprawa z otwarciem testamentu się zakończy.

W kilka dni po przyjeździe pana Adama Jasińskiego przybył do Gór oczekiwany oddawna pan Krystyn Miller, małżonek siostry spadkodawcy, pani Filomeny z Kozłowskich Millerowej. Oboje bardzo nieprzyjemne wrażenie wywarli na Stanisława, który ich dotąd prawie nie znał, bo dzieckiem będąc, raz tylko widział wujaszka Millera i ciotkę Filomenę i słabe o nich zachował wspomnienie. Teraz za to mógł im się dostatecznie przypatrzyć i zauważył na swoje zdziwienie, że pan Adam Jasiński zachowywał względem „wujka“ Millera nadzwyczajną skromność, uprzejmość, a nawet czołobitność, którą ten ostatni przyjmował dość obojętnie i traktował swego kuzyna z góry, a nawet, jak się zdawało Stanisławowi, z pewną pogardą.

Sam zresztą wujaszek Miller, fabrykant makaronu, był typem wzbogaconego na polskim chlebie Niemca i burżuja. Wygolony starannie o złych, czarnych, zimnych oczach, chodził poważnie, niosąc przed sobą ogromny brzuch, na którym chwiał się ciężki łańcuch złoty od zegarka. Stanowił on uderzający kontrast ze swą żoną Filomeną, chudą, bladą, mizerną, pełną pokory i drżącą przed swym małżonkiem, który był dla niej surowym, wymagającym i wiecznie drwiącym z jej polskich ideałów i z jej pobożności, panem. Wstawał dość wcześnie, kaszlał i pluł przez godzinę i przychodził na werandę na śniadanie, gadał mało i słuchał Siergieja opowiadań w milczeniu. Pan Adam Jasiński zwykle przy wujku skromnie siedział i wcale się nie odzywał. Do Antka Wiśniewskiego, który nie krępując się niczem, szeroko rozwijał swą teoryę o złem urządzeniu obecnych społeczeństw ludzkich, rzekł pan Miller:

— Podług mnie to wszystko, co pan tu gadasz, torby sieczki z przeproszeniem nie warte. Pan powiadasz, że obecne społeczeństwo ludzkie jest źle urządzone. Zwykła to śpiewka próżniaków, którym się pracować nie chce, a używać by pragnęli. Ja zaś powiem, ja Krystyan Miller, który nic nie miałem, a teraz posiadam ładny majątek, że świat jest zupełnie dobrze urządzony. Bo czego wy chcecie? Rząd się opiekuje pracą, zapewnia jej spokój i bezpieczeństwo, pracować więc można i robić majątek można. Czego tu chcieć więcej? Dyabli wiedzą, co teraz po pustych łbach się roi! To ja, który od rana do nocy pracuję i zabiegam, jak mogę, mam się dzielić majątkiem z jakimś oberwańcem, któremu się robić nie chce? Rząd jest zanadto pobłażliwy, bo żeby tak na mnie, tobym wszystko to łajdactwo powywieszał. *Sacrament donner-wetter!*

Uderzył pięścią w stół i splunął, rzucając groźne oczów wejrzenie.

Innym razem gadał:

— Oni, ci socyaliści, pepesowcy, endecy i dyabli wiedzą, jak się tam nazywają, dużo prawią o szczęściu, jakiego by zażywać chcieli. Głupcy i osły wierutne. Prawdziwe szczęście polega na tem, by dobrze zjeść, strawić dobrze, kochać się wygodnie, wyspać dostatecznie i mieć bezpieczeństwo i spokój. Czego u stu dyabłów można więcej żądać w życiu?

Wszystko to wypowiadał tonem mentorskim, tonem pewności, nie znoszącej opozycyi, przeświadczony o niezawodnej mądrości swej burżujskiej filozofii życia. Lubił przytem dużo gadać, rozparłszy się wygodnie na krześle, paląc dobre cygara i rzucając podejrzliwe wejrzenia złych swoich oczów na obecnych, jakby szukał oponenta, by na niego rzucić się z gniewnym wybuchem obrażonego, prawdziwego i głębokiego, jak mniemał, rozumu.

Nikt mu też naprawdę nie oponował, wszyscy słuchali go w milczeniu, może lękając się sprzeciwiać tej ogromnej, ciężkiej, jakby siekierą wyrąbanej postaci, która miała w sobie niewyczerpany zapas iście niemieckiej brutalności, nie chcąc narażać się na nieprzyjemność z tego powodu i wiedząc z góry, że wszelki opór do niczego nie doprowadzi i zarozumiałego, pewnego siebie burżuja nie przekona. Jeden tylko Siergiej Bolesławicz potakiwał teoryom Millera i zwykle gadał:

— Da, da... pan... wy prawdu mówicie. Mnie to i Konon Iwanowicz nieraz gadali. Co wy, mówi Konon Iwanowicz... to moje naczalstwo... Co wy, Siergiej Bolesławicz, dumacie? życie, to życie, nie lziaże brać go inaczej, jako ono jest. Wszystko wzdor, gadał Konon Iwanowicz, a ciepłe miesteczko to grunt. Ot co jest...

Stanisław zrazu oburzał się na teorye Millera, ale potem, wiedząc z góry, że spór na nic się nie zda, nie słuchał go wcale, zagłębiony w swe myśli o marności wszystkich zabiegów ludzkich. Nie podobał mu się nadzwyczajnie ten jego wujaszek, mało z nim mówił i unikał wszelkich pogawędek, wychodzących poza sferę interesów spadkowych.

Pani Zenobja Kapuścińska siedziała zwykle w obecności Millera bardzo skromnie, nie odzywała się wcale i widoczną było rzeczą, że go się obawia. Anielka też nic nie mówiła, zdefiniowawszy jednem słowem swego kuzynka z lewej ręki: „to skończony dureń“. Adam Jasiński także był bardzo cichy wobec Millera, starał się nic nie mówić i wogóle miał taką minę, jakby pragnął jak najmniej zwracać na siebie uwagi groźnego wujaszka.

Jeden tylko Antek Wiśniewski śmiało oponował teoryom Millera i widoczną było rzeczą, że jego ton mowy spokojny, szyderski rozdrażniał mocno zarozumiałego kupca, ale się hamował, ruszał tylko ramionami na uwagi Antka i zwykle kończył rozmowę:

— Ty, panie Wiśniewski, jesteś jeszcze młody... nic dziwnego, że ci się tam Bóg wie, co roi po głowie. I mnie, jak miałem aspana lata, takie różne głupstwa się trzymały, ale twarda szkoła życia oduczyła mnie od nich. I kawaler, jak będziesz starszy, inaczej zaczniesz patrzeć na ludzi i rzeczy.

Ten pogardliwy ton wyższości, to nazywanie Antka „aspanem“ i „kawalerem“, znać było, że go gniewało. Blada jego twarz, wiecznie skrzywiona, jakby ukrytem trawiona cierpieniem, żywym oblała

się rumieńcem, ale się powstrzymał, machnął ręką, zgarnął swe bujne ciemne włosy na tył głowy, bandycki kapelusz nasadził na głowę i otulając się w pelerynę, choć dzień był skwarny, zabrał się i wyszedł.

Ale raz i on wybuchnął. Było to wieczorem. Wszyscy siedzieli na werandzie przy kolacyi. Samowar kipiał i szumiał, a właśnie Antek z Jasińskim spóźnili się nieco, bo gdzieś razem całe popołudniu chodzili, co mówiąc nawiasem, zdziwiło bardzo Stanisława, bo dotąd Wiśniewski unikał stosunku ze swym bratem ciotecznym i widoczną dla niego okazywał pogardę. Przyszli nieco zmęczeni, zakurzeni i zajadali z apetytem pozostałe dwa kotlety cielęce z marchewką, przysłuchując się rozmowie, która już widocznie oddawna była prowadzona. Właściwie nie była to rozmowa, bo jak zwykle sam Miller, rozparty wygodnie w fotelu, puszczając wonne kłęby dymu z cygara, mówił a wszyscy go słuchali z jakąś lękliwą i pokorną uniżonością. Jego biedna, szczupła, blada i zwiędła przedwcześnie żona, ciocia Filomena, siedziała wyprostowana w skromnej, ciemnej sukience perkalikowej i od czasu do czasu z wyrazem psiej wierności spoglądała na męża.

Ten mówił:

— Cóż, nie mogę powiedzieć, żebym czuł jaką niechęć do tego kraju. Urodziłem się tu, wychowałem, mój ojciec tu pracował i ja pracuję, dobrze mi jest, dlaczegóżbym miał być niechętny Polakom i Polsce? Jestem Niemiec i zostanę Niemcem, ale Polaków lubię. Zdolni to ludzie, ani słowa, ale mają we łbach przewrócone.

— Ho! ho! — mruknął z poza kotleta Wiśniewski.

Miller spojrzał złem okiem na Antka i prawił dalej:

— Tak, mają przewrócone we łbach. Powiedziałem to i dowiodę tego.

— Ciekawym! — mruknął znów Antek, połykając marchewkę z groszkiem.

— Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr. Niemcy są narodem pozytywnym, a Polacy nie. Uroili sobie np. że kiedyś odzyskają, muszą odzyskać dawną Polskę od morza do morza. He! he! he! czy może być większe głupstwo? Co raz umarło, więcej nie odżyje. Zamiast pogodzić się z losem, którego nic zmienić nie zdoła, oni wszystko czynią, by dawne zmurszałe, przepadłe na zawsze państwo odzyskać; zamiast powiedzieć sobie, że Polska nigdy już nie powstanie, oni karmią w sobie niezniszczalne nadzieje i marnują swoje siły, które inaczej, korzystnie mogliby zużytkować. Trzeba sobie raz powiedzieć, że Polska przepadła.

Gdy to Miller wyrzekł, stała się rzecz nadzwyczajna. Ciotka Filomena, słuchająca zwykle w milczeniu i z niemą aprobatą tyrady swego męża, tym razem rzuciła okiem po obecnych, a widząc w oczach Antka i innych oburzenie, wyprostowała się, rękami niespokojnie poczęła gładzić swą ubogą sukienkę, jej blada mizerna twarzyczka pokryła się rumieńcem, otworzyła usta, żeby coś rzec, zawahała się, wreszcie z rezygnacyą człowieka, rzucającego się z zamkniętemi oczami w przepaść, szepnęła nieśmiało:

— Ach, Krystyanie, jak można tak mówić?

Słowa te, wypowiedziane lękliwie i z taką śmiertelną, rzec można, trwogą, że zaraz po ich wypowiedzeniu ciocia Filomena zbladła jak kreda, oczy przymknęła i ręce w rozpaczliwej bezsilności opuściła, wywołały na twarzy jej męża zrazu zdumienie, a potem wściekły gniew. Zaczerwienił się jak burak, cygaro z ust wyjął, zaklął po cichu:

— Donner wetter sacrament!...

A potem, widocznie hamując się, rzekł szyderczo:

— Cóż to *majn szac*, od jakiegoż to czasu ośmielasz się twemu mężowi i panu przerywać mowę? Twojem zadaniem jest milczeć, gdy ja mowię...

Nic nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana, blada, tylko jej biedne, chude, zapracowane, stwardniałe i opalone rączyny nerwowo gładziły suknię. Ale już teraz Antek zerwał się z krzesła i podnosząc w górę widelec, na którym sterczał kawałek kotleta cielęcego, z włosem rozwianym, z oczami iskrzącemi, zawołał:

— Pan, panie Miller jesteś tyran i Niemiec. Czy Polska przepadła, czy nie, to do pana nie należy o tem gadać. Tacy zapasieni burżuje, jak pan, tego rodzaju wielkich zagadnień przyszłości urządzać nie są w stanie. Oświadczam panu, że odtąd go nie znam i jeżeli są między nami jakie węzły pokrewieństwa, zrywam je na zawsze.

Cały był czerwony, gdy to mówił i zabawnie wyglądał potrzepując groźnie widelcem z kawałkiem kotleta, ale jego postawa była piękna, oburzenie szlachetne, czarne oczy energiczne ciskały błyskawice i Anielka, patrząc na niego, szepnęła sobie:

— Żeby nie ten kotlet, byłby naprawdę ładny.

I pragnąc, by wrażenie estetyczne, wywołane w niej widokiem oburzonego Antka, niczem nie było zakłócone, zawołała dość głośno:

— Rzućże pan ten widelec!

Uwaga ta rozśmieszyła wszystkich. Jeden tylko Miller wstał gniewny, oburzony, klnący głośno i chciał coś mówić, gdy pojawienie się pani Schmidt, wprowadzającej na werandę nową osobę, przerwało wybuchnającą już burzę.



Ależ już teraz Antek zerwał się z krzesła i podniósł w górę widelec.

XIII.

Tą nową osobą, której przyjazdu na werandzie nie zauważono, ponieważ wszyscy zajęci byli sporem, powstałym między Millerem a Antkiem Wiśniewskim, był nowy i nieznany nikomu kandydat do sukcesyi, pan Józef Kozłowski, brat rodzony spadkodawcy Teodora, zaprzepaszczony, jak myślano, gdzieś w Rosyi. Od lat dwudziestu przeszło, gdy po jakiejś gwałtownej sprzeczce z bratem Teodorem opuścił był Góry i kraj, nie dawał znaku życia, nie wiedziano, co się z nim stało i sądzono, że umarł. Tymczasem on żył i oto teraz, na parę dni przed otwarciem testamentu, zjawia się, by się upomnieć o przynależną mu część spadku.

Ukazanie się jego na werandzie i objaśnienie kim jest, zażegnało odrazu burzę, mającą wybuchnąć między Millerem i Antkiem Wiśniewskim. Miller umilkł i widocznie nie w smak mu poszło zjawienie się nowego sukcesora, który oczywiście biorąc swoją część, zmniejszy dla każdego ze spadkobierców wysokość sukcesyi. Niemiec dość niechętnie podał rękę panu Józefowi, mrucząc pod nosem:

— Donner wetter sacrament!...

Sergiusz Bolesławicz, który jako niemający żadnych praw do sukcesyi, najbardziej był czuły na pojawienie się nowych pretendentów do spadku, szepnął do Adama Jasińskiego:

— Czort zna, odkąd się biorą te sukcesory!

Pani Zenobja Kapuścińska, licząca na to, że dla jej „sierotki Ferdzia" powinna przypaść największa część sukcesyi, zawołała dość głośno:

— A to prawdziwa bania rozbiła się z tymi sukcesorami!

Ale nowy sukcesor nie zważał na chłodne i niechłodne przyjęcie, kłaniał się wszystkim dość niezgrabnie i grzeczny a słodki był dla każdego. Był to mężczyzna niski, krępy, o szerokich barkach, głowie dużej i gęstej, szczecinowatej brodzie, która jego figurze nalitej nadawała wygląd niedźwiedzia. Mówił z litewska, śpiewając i przeciągając akcent.

— Taj braciaszkowi moi mileńcy — ja tu do was z Litwy przybywszy i bał się, co będzie już późno. Ale spieszył się, spieszył ze skóry lecąc, żeby na czas zdążyć. Cóż? na czas ja przybywszy?

— Na czas — odrzekł Stanisław.

— To i dobrze, serce ty moje. Dziękuję, nie chce się — odrzekł do pani Schmidt, która mu podsuwała pozostały kotlet cielęcy z groszkiem.

Siedział, spoglądając bacznie na obecnych i mówił:

— Cóż? mógł ja spóźniwszy się. Siedzę ja, serce ty moje, w Ihumeńskim powiecie. Taj cóż? głusza to wielka, świata i tyli nie widać, jak tylko przez maleńką furteczkę. Gazet bo żadnych niema i jaby o niczem nie wiedział, że braciaszek mój rodzony Teodor umarł, żeby nie mój sąsiad pan Lewandowski. Bywało, pojedzie on do Borysowa i stamtąd zawsze jakiś żurnal przywiezie, to my czytamy go, czytamy, aż calusieńki przeczytamy od deski do deski, a potem wieczorami to gadający o tem, cośmy przeczytali. Ja to nie wypisuję żadnego żurnalu, gdzie mnie tam! nie stać mnie na to serdeńko, dalibóg nie stać. Ale taki? O czem to ja chciał gadać?

— Zapewne o tem, w jaki sposób stryjaszek dowiedział się o śmierci stryja Teodora.

— Otóż to! w sedno serdeńko. Ot u mnie już pamięć nie dopisuje. Cóż, dwadzieścia pięć lat, jak ja siedzę na Litwie i w Koronie nie bywszy, to i dużo rzeczy zapomniawszy. Siedzę ja tedy w puszczy w Ihumeńskim powiecie, a pan Lewandowski pojechał, bywało, do Borysowa, bo mu tam różne sprawki nawodzić. Wraca, jako zwyczaj, zajeżdża do mnie do zaścianku i powiada: a wiesz ty Józefie, co twój brat Teodor umarł. Scisnęło mnie coś za serce i omało ja nie zemdlawszy, bo choć brat Teodor, bywało, nie dobrze ze mną postępował, ale taki zawsze to brat. — Nu i w żurnalu, co go przywiózł pan Lewandowski, ja wyczytał, że mają zjechać się tu wszystkie bracia i siostry nieboszczyka po sukcesyę. Taki, cóż robić?... dobywszy ja z mieszka nieco bumażek, com je na pogrzeb schowawszy i oto mnie macie.

Mówił to wszystko głosem słodkim, akcentem śpiewnym i wydawał się człowiekiem dobrodusznym. O sobie samym gadał:

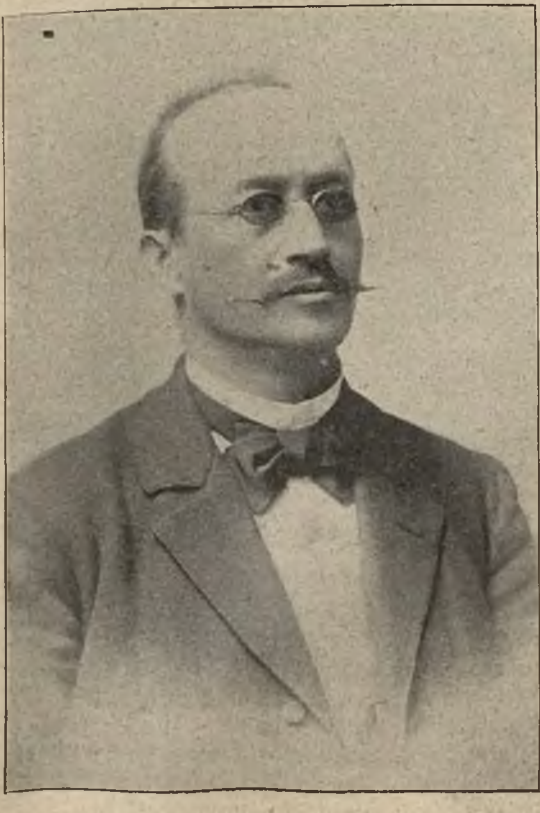
— Ja Litwin serdeczny.

Jakoż był Litwinem duszą i ciałem. Jeżeli jego postać krępa, nabita, z głową nisko ostrzyżoną, z bujnym szczecinowatym zarostem, przypominała istnego Mickiewiczowskiego Budrysa, to i duszą i sercem był Litwin. Jakkolwiek mieszkał gdzieś, jak sam powiadał w głuszy i w puszczy, w głębi Ihumeńskiego powiatu, jednakże odczuł na sobie prądy, które w tej dobie powiały i zamroczyły wiele umysłów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Embryologiczna zagadka.

Od dawna silili się embryologowie wszelkich narodów nad rozwiązaniem problemu, w jaki sposób należy postępować, aby przyszłe pokolenie mogło mieć taką płeć, jak kto zapragnie. Pamiętamy jeszcze



Embryologiczna zagadka: Twórca nowej teoryi, profesor lwowskiego uniwersytetu, dr. Teofil Ciesielski.

teoryę wiedeńskiego profesora Schenka, który ogłosił *urbi et orbi*, że udało mu się wykryć, w jaki sposób ma nastąpić zapłodnienie, aby płeć urodzić się mającego osobnika była taka, a nie inna. Powidełka Schenkowskie zrobiły jednak, mówiąc po krakowsku, kompletną klapę, a teorya jego z pism fachowych przeszła z czasem na szpalty humorystycznych i dziś jeszcze tam się niejednokrotnie odzywa.

Obecnie sprawa odżyła na nowo, gdyż znany profesor botaniki w uniwersytecie lwowskim, dr. Teofil Ciesielski, ogłosił w *Bartniku postępowym* artykuł, w którym utrzymuje, że od dawna już badał przyczyny, od których zależy powstawanie płci. Zaczął te badania na konopiach, potem prowadził je na psach i królikach, wreszcie na koniach i bydle rogatem. Na konopiach wykrył właśnie to prawo, od którego powstawanie płci zależy, na zwierzętach zaś przekonał się, że stosuje się ono nietylko do roślin, ale i do zwierząt a nawet i do ludzi. Stwierdził to niejednokrotnie, dając ludziom bezinteresownie rady, których jednak istota rzeczy była osłonięta obojętnymi, a najważniejszymi przepisami.

Dotychczas nie ogłaszał swego odkrycia, obawiając się, jak sam powiada, przewrotu, jaki mogłoby ono wywołać w społeczeństwie, gdy jednak zwrócono mu uwagę, że i ktoś inny mógłby wpaść na to samo a z pewnością nie zawahałby się publicznie to ogłosić, zdecydował się zawiadomić świat o swem odkryciu, na razie w zmienionym umyślnie alfabecie.

U konopi jest już w każdem ziarnie nasienia złożona różnica płci; jedne dadzą osobniki męskie, drugie żeńskie. Ażeby otrzymać ziarna męskie, trzeba dokonać zapłodnienia: *amusrgiorptgi niuolb ftgsly tcnbgcm uskgrc*, dla żeńskich zaś: *ackgmp ycnpwi*. Zwierzęta i ludzie wydadzą osobniki męskie, gdy zapłodnienie nastąpi: *awcmsi akrcogros lapwuogkg waldc*, żeńskie zaś: *apmi nscylwlco gtpycn puuog*.

Szczegółowy przebieg badań i ich wyniki obiecuje prof. Ciesielski ogłosić w osobnej naukowej pracy, w której też i wykryte prawo poda do publicznej wiadomości.

W kołach przyrodników artykuł wspomniany wywołał ogromne poruszenie. Jedni z nich powątpiewająco kiwają głowami, drudzy uśmiechają się pod wąsem, inni wreszcie nie wykluczają możliwości, tembardziej, że sprawie determinacyi płci bardzo wiele już badań poświęcono, polecają jednak cierpliwość, dopóki prof. Ciesielski nie ogłosi swych spostrzeżeń.

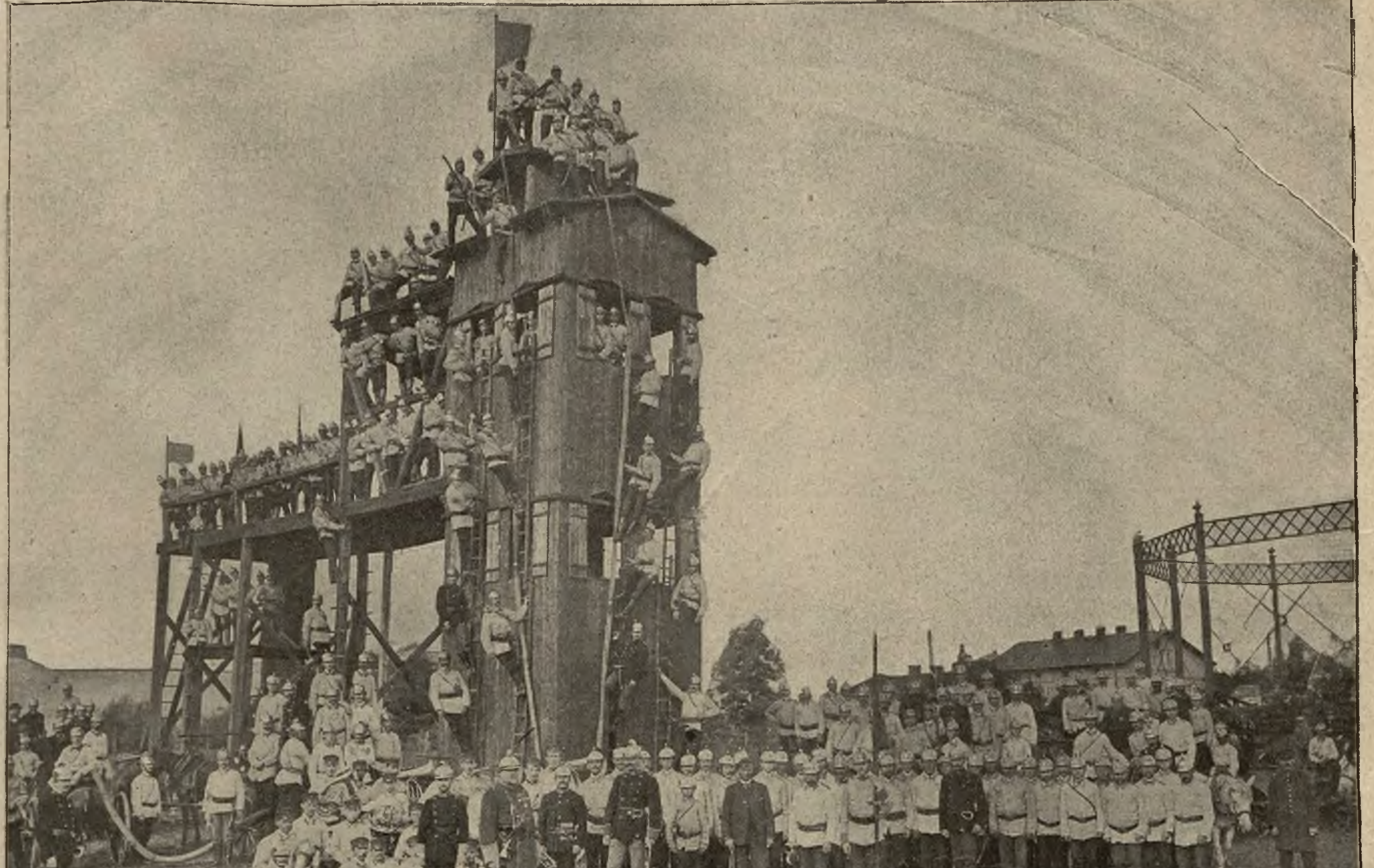
Na razie więc wstrzymać się musimy z regulowaniem według upodobania stosunku mężczyzn do kobiet w naszem społeczeństwie, amatorowie zaś zagadek znajdą na czas kanikuły bardzo przyjemne zajęcie w odgadywaniu embryologicznego kryptogramu.



Uroczystość strażacka w Rosprze: Akt poświęcenia nowego sztandaru straży rosprzańskiej.

Uroczystość strażacka w Rosprze.

W ubiegłą niedzielę prastara Rosprza, należąca ongi do książąt kujawskich i kasztelanów najznakomitszych rodów, obecnie wchodząca w skład pow. piotrkowskiego w Królestwie Polskiem, była widownią wielkiego święta z racyi poświęcenia sztandaru rosprzańskiej straży ogniowej ochotniczej, składającej się wyłącznie z włościan.



Uroczystość strażacka w Rosprze: Ochotnicza straż rosprzańska na placu ćwiczeń w strażnicy.



Uroczystość strażacka w Rosprze: Straż ochotnicza z Rosprzy wraz z delegatami innych ochotniczych straży i uczestnikami uroczystego poświęcenia sztandaru.

Dla ludzi miłujących rozwój kultury, oddanych szczerze sprawom społecznym, dzień ten był wielkiem świętem, świadczącem o energii ludzi dobrej woli, jak również o karności i sprawności szerokich warstw, które dziś są już uświadomione i pojmują znaczenie związków i wspólnej pracy dla dobra ogółu.

Inicyatorami i założycielami straży ogniowej ochotniczej w Rosprzy są państwo Trepkowie z Jeżowa, którzy od roku 1907 stale popierają młodą instytucyę. Następnie wśród opiekunów należy wymienić ś. p. radcę Zakrzewskiego i pozostałą po nim małżonkę p. Natalię Zakrzewską, bardzo czynnego działacza ks. dr. Brylika i wielu innych.

Aktu poświęcenia sztandaru dopełnił ks. dr. Brylik, a potem wręczył go uroczyście komendantowi straży p. R. Kamińskiemu.

Po ukończeniu ceremonii odbył się obiad, wydany przez prezesa straży Trepkę na cześć przybyłych przeszło 40 delegatów straży z różnych, nawet dalszych okolic, oraz dokonano zdjęcia fotograficznego.

Nauka strzelania w szkołach średnich.

Wiele hałasu i różnych głosów *pro* i *contra* wywołało rozporządzenie ministerstwa oświaty, zaprowadzające w szkołach średnich nadobowiązkową naukę strzelania, pod kierunkiem oficerów. Rozpoczęły się ankiety i obrady, część gron nauczycielskich oświadczyła się przeciw wprowadzeniu, druga zgadzała się na tę innowacyę, stojąca, jak twierdzono, w ścisłym związku z projektowanem zaprowadzeniem dwuletniej służby wojskowej. Ministerstwo obrony krajowej, w porozumieniu z ministerstwem oświaty, wydelegowało pewną liczbę oficerów, którzy objęli kierownictwo nauki w poszczególnych zakładach i wyznaczyło odpowiednią liczbę naboi, mających być użytymi do ćwiczeń. W nauce mogli brać udział uczniowie dwu najwyższych klas.

W ubiegłym roku szkolnym 1911 odbywała się też wspomniana wyżej nauka w kilku zakładach średnich galicyjskich, między innymi także w drugiem gimnazyum z językiem wykładowym polskim



Polskie gimnazyum na wschodnich kresach: Grono uczniów, uczenic i nauczycieli prywatnego gimnazyum realnego w Zbarażu z prezesem komitetu F. Sobolem (X) w pośrodku; 1. ks. gwardyan Szpila; 2. dyr. A. Steiner; 3. prof. dr. Olszewski; 4. katecheta ks. W. Niemiec; 5 prof. A. Deszczakowski; 6. prof. M. Balin.



Klub polskich ludowców: Siedzą od lewej ku prawej posłowie: Ruebenbauer, Długosz, inż. Kędzior, wiceprezes Średniawski, prezes Stapiński, wiceprezes Bojko, sekretarz dr. Banaś, inż. Angerman, Bis, dr. Wróbel; stoją od lewej ku prawej: hr. Lasocki, dr. Biały, Madej, Myjak, Jachowicz, Rusin, Śmiłowski, Kubik, Jedynak, Łyszczarz, hr. Rey, Tetmajer i Witos.

w Stanisławowie. Rozpoczęto ją w kwietniu pod kierunkiem kapitana obrony krajowej, Mikołaja Horodyskiego. Uczniowie w ciągu całego trwania kursu okazywali żywe zajęcie i osiągnęli zupełnie dobre rezultaty.

Rozpoczęto historycznym rozwojem broni palnej, poznano części składowe karabinu i teoryę strzelania, poczem ćwiczono się na strzelnicy pokojowej, wreszcie, po nabraniu wprawy i pewności ręki i oka, strzelano ostrymi nabojami na strzelnicy wojskowej. Przepisowo miała się nauka odbywać raz w tygodniu, kapitan Horodyski jednak z własnej inicyatywy, nie szczędząc trudów i pracy, odbywał ją dwukrotnie.

W dniu 24 czerwca odbyło się na zakończenie nauki popisowe strzelanie na strzelnicy wojskowej, na które komenda 20-go pułku obrony krajowej przysłała delegacyę oficerską z pułkownikiem Emilem Stramlitschem na czele, komenda zaś korpusu dywizyi i brygady pisma gratulacyjne. W popisie wzięło udział ośmnastu uczniów, którzy wykazali znakomity postęp.

Po oddaniu strzałów dyrektor gimnazyum, Lachowski, podziękował pułkownikowi Stramlitschowi oraz władzom wojskowym za bezpłatne użyczenie strzelnicy, dostarczenie broni i amunicyi i interesowanie się postępami uczniów, specyalnie zaś kapitanowi Horodyskiemu za jego niestrudzoną gorliwość i życzliwość, jaką w ciągu kursu młodzieży okazywał.



Nauka strzelania w szkołach średnich: Uczniowie II. gimnazyum w Stanisławowie z gronem nauczycielskiem i kierownikiem kursu kapitanem Horodyskim.

Nowi posłowie z Galicyi do parlamentu.


Hipolit Śliwiński
Lwów I.


Ernest Breiter
Lwów II.


Dr. Herman Diamand
Lwów III.


Dr. Stanisław Głąbiński
Lwów IV.


Dr. Aleksander Lisiewicz
Lwów V.


Dr. Józef Buzek
Lwów VI.


Józef Hudec
Lwów VII.


Dr. Juliusz Leo
Kraków, Śródmieście.


Dr. Zygmunt Marek
Kraków, Stradom-Nowy Świat.


Edmund Zieleniewski
Kraków, Kleparz.


Ignacy Daszyński
Kraków, Wesoła.

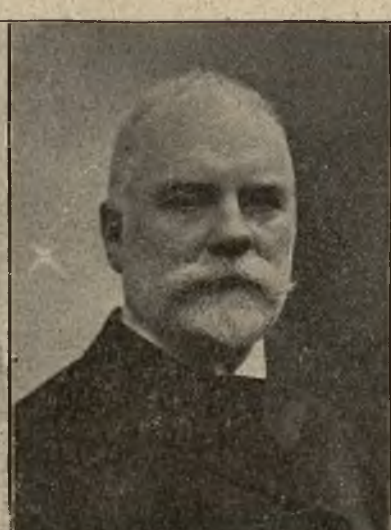

Dr. Adolf Gross
Kraków, Kazimierz.


Dr. Herman Lieberman
Przemyśl.

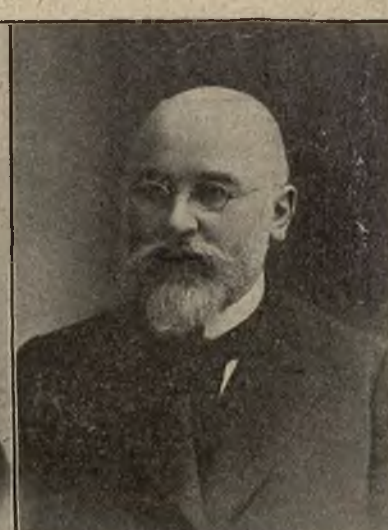

Rudolf Gall
Tarnopol.


Edmund Rauch
Stanisławów.


Dr. Ludomił German
Nowy Sącz-Stary Sącz-Nowy-Targ.


Dr. Leon Biliński
Rzeszów-Ropczyce-Sędziszów.


Dr. Tadeusz Tertil
Tarnów.


Dr. Stanisław Łazarski
Biała-Żywiec-Kęty-Wadowice.


Dr. Witold Korytowski
Bochnia-Wieliczka-Podgórze.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

37

Niechże teraz się dowie, że Rozen rozbity, Brześć wzięty, że jemu samemu grozi poprostu odcięcie, uwięzienie na lewym brzegu Wisły!

A Paskiewicz tymczasem, czy nie dowiedział się o tem nowem dlań niebezpieczeństwie, czy innego coś knuł, dość że najspokojniej ściągał nowe dywizye, umacniał się na pozycyi.

Krukowiecki zaniepokoił się. Wiadomości, powzięte przez rekonesanse, podjazdy, zagarnięte placówki, opowiadały o nadciąganiu Kreutza, o okrutnych ośmiu moździerzach, aż z Kijowa przez Gejsmara prowadzonych. Dalej istne duby smalone wywodziły o rewiach, które piechota rosyjska odbywa codzień z drabinami, koszami i pękami faszyny — o ściąganiu prowiantu i wogóle o gorączkowem sposobieniu się do uderzenia na Warszawę.

Krukowiecki z Małachowskim nie daliby się jednakże temi przesadzonemi niechybnie nowinami zastraszyć, gdyby nie raporty Ramorina i Prądzyńskiego.

Stoczył bitwę Ramorino pod Krzynką i zadał, stanowczo zadał Rozenowi. A co w Rogoźnicy piąty pułk cudu dokazał, sześćset nieprzyjaciela padło i chorągiew zdobył!

W Międzyrzeczu zato Rozen na miazgę byłby poszedł i nie zdołałby ujść do Brześcia, żeby nie Ramorino, pisał Prądzyński — żeby nie Prądzyński objaśniał ze swej strony Ramorino. Kwintesencya, że korpus Ramorina po ośmiu dniach marszu wybiera się do Terespola, że conajmniej dzieli go od Warszawy sześć dni pochodu.

W odpowiedzi na ten raport wysłano do Ramorina rozkaz, wzywający go do powrotu, do spieszenia pod Warszawę. Po czterech dniach miast Ramoriny, zjawił się sam Prądzyński z referatem sążnistym o błędach Ramorina, o tem, że nietylko on, kwatermistrz generalny, nie mógł sobie z nim poradzić ale i Rząd narodowy także nie zdoła, bo Ramorino ani myśli wracać, bo woli Brześcia dobywać, bo na Ramorina niema sposobu.

Zaledwie wykoncypowano piorunujące depesze do krnąbrnego generała — na Woli ozwały się po raz pierwszy armaty. Rząd porwał się wylękniony do telegrafu skrzydłowego, ustawionego na teatrze. Śmigi nie dały na szczęście długo czekać na siebie. Reduta pod Odolanami donosiła o zwycięskiej wycieczce ... na na rekonesans huzarów.

Rząd raźniej odetchnął. Od dwóch tygodni była to pierwsza sposobność do zadufańszego rozkazu dziennego.

Ališci, zanim zdołano ucieszyć się do reszty tą wycieczką a postanowić, czyliby wtórej podobnej za Rakowiec nie przedsięwziąć — do forpoczt przybył parlamentarz! I tym razem nie lada sobie sztabowczyk z pisaniem od Witta — ale sam generał Danenberg z przedłożeniami feldmarszałka.

Na spotkanie z Danenbergiem wyprawiono Prądzyńskiego z Wysockim.

Feldmarszałek stawił wprost warunki zaniechania krwi rozlewu. Twarde warunki.

Wrócili wysłańcy nieco zwarzeni. Krukowiecki zebrał radę wielką, aby odpowiedź obmyśleć.

Prądzyński a za nim i prezes Rządu i Dębowski i Radziwiłł przebąkiwać zaczęli, czyby nie lepiej, czy nie polityczniej... Ale wnet żwawa dyskusya oczy im rozwarła.

Czemże było istotnie parlamentarstwo Paskiewicza? — juści podstępem. Strach go oblatuje o Rozena i dla fortelu zucha udaje, aby rozejmu się dopytać. — Prawdziwie chce paktować? — Więc na warunki trzeba z warunkami wystąpić. Gwałtu nie ma. Warszawy byle kanonadą nie weźmie. A jak miasto raz mu da opór — to Europa się dowie i zagada. W każdym razie przy swojem stać należy.

I Niemojowski ułożył odpowiedź tak siarczystą, jakby feldmarszałek za Niemnem w widłach rzeki zmiłowania wyglądał. Aż ciekawość paliła, z czem teraz Danenberg przyjedzie, jak wybrnie Paskiewicz z tak jędrnego *dictum*.

Tegoż dnia lunety inżynierskie, czuwające na wieży luterskiego kościoła, rozstrzygnęły domysły.

Armia rosyjska dźwigała się, ustawiała w ciemne, podłużne dzwona.

Wojsko polskie stanęło pod bronią.

Rozrachunek Krukowieckiego był prosty. Umiński dowodził lewem skrzydłem od Solca i Belwederu do Czystego — Dębiński prawem od Czystego do Purysowa i Marymontu. Bem z rezerwą artyleryi miał być w odwodzie — i na Mokotów baczyć. Z tej strony bowiem należało się spodziewać właściwego szturmu, bo tu i redut było licho co i szańce nieskończone i dla nieprzyjaciela korzystne schrony między ogrodami, wądołami, błotami i garbami belwederskimi. Demonstracya może pójść i na Rakowiec i na Wolę — ale na Mokotów łatwo się rzucą. Najważniejsze Mokotowa strzedz.

Jakoż na pierwszy sygnał o następowaniu nieprzyjaciela, na pozycyach od Mokotowa wszczęła się gorączkowa praca. Łatano palisadami niedokończone nasypy i fosy — umacniano armaty, w domkach okolicznych wybijano strzelnice. A w ostatku na jeszcze tęższe szańców wzmocnienie zdecydowano z fortu numer pięćdziesiąt pięć działa ciężkie ściągnąć i na Mokotów zawlec. Co żadną nie było szkodą, bo tuż pod fortem z lewej była reduta Ordona a z prawej ostróg potężny Sowińskiego. Kule armatnie ostrogu i reduty i tak się krzyżowały. Więc pozycya wolska i bez fortu była mocną. Mokotów zaś zyskiwał niezmiernie.

Ale z ustawieniem dział ciężkich był nielada trud i kłopot. I stąd, gdy na Woli przytłumionemu poszmerowi, co zdali ciemnej szedł ku polskim szańcom, odpowiadał spokojny rozgwar korpusu Dębińskiego — pod Mokotowem cały sztab z Umińskim i Bemem pracował bez wytchnienia.

Aż około północy, wraz z uporaniem z działami, nadjechał ordynans dowódzcy bateryi Rzepeckiego, który z pułkiem trzynastym za Wierzbnem stał. Rzepecki donosił, że od Szop skrada się nieznaczny korpusik a od Zbarza idzie na Wyględów drugi, licho co tęższy i że pojmany oficer kozacki mówi, iż z tej strony niema więcej dywizyi, bo główny korpus na Wolę uderzy.

Bem, wobec którego generał Milberg odczytał Umińskiemu tę depeszę, nie mógł powstrzymać się od wykrzyknika:

— Więc cały szyk bojowy wypada zmienić!

Umiński a za nim Milberg spojrzeli nań pobłażliwie. Bem usiłował bronić swej racyi, lecz dowódzca korpusu pokonał go argumentami.

Nadewszystko oficer kozacki, choćby pragnął najrzetelniejszą wyznać prawdę — uczynić tego nie zdolen, bo niema o niej wyobrażenia! Są to tylko dwa słabe korpusiki, niechby tylko dwie brygady. Zgoda! — Cóż to znaczy? — Atak na Wolę pójdzie — ale dlatego na Wolę, aby równocześnie wykonać ruch na lewe skrzydło polskie i uderzyć na najłatwiejszy do zdobycia punkt.

Bemowi zawisła na ustach odpowiedź, że feldmarszałek w ten sposób musiałby dobywać miasta w podłoż — lecz zmilczał. Bo zaiste, w ciągu dni ostatnich tyle stoczył utarczek na radach, tylekroć razy pozostał odosobniony ze swem zdaniem — tylekroć całą generalicyę miał przeciwko sobie — że do upierania się przy racyi brakło mu i siły i ochoty i wiary nawet.

Umiński zresztą nadto wielki mir żywił dla Bema — by owej różnicy poglądów nie zagadać, nie zatrzeć przyjaźniejszem ozwaniem. Jakoż wnet spędziwszy ostatek chmur z czoła dowódzcy artyleryi, zakonkludował ochoczo:

— No, kolego generale, a teraz czas o spoczynniu pomyśleć. Niechże się Milberg z Rybińskim sami konsolują.

— Przydałoby się, chociaż za trzy godziny świt prawie...

— Do południa bodaj mamy czas! Najpierw Sowiński musi nawiwatować. Do pierwszego strzału Milberga możemy spać. Do wolskiej pukaniny nam nic.

Bem skwapliwie poszedł za radą Umińskiego. Na pozycyi według planu obrony, istotnie nic nie miał do czynienia. A do miasta wlokło go, ciągnęło...

I w niespełna półgodziny Bem błogosławił Umińskiego, że go nie zatrzymał, że go odprawił.

Toć kapitanową zastał we łzach, skuloną, zasuniętą w najciemniejszy kącik, drżącą z przerażenia, z trwogi!

Zaiste opłakany był pomysł dania pani Anny pod opiekę owej Dzikowskiej. Baba naplotła dub smalonych, nagadała jej bajek i miast otuchy przysporzyć — delikatną duszyczkę pani Marchockiej śmiertelnym napełniła lękiem.

Nadomiar, niewiadomo po co, skąd zjawił się, podczas nieobecności całodziennej generała, wuj Olechowski. I czy on naplótł po pijanemu, czy Dzikowska ozorem nabełtała — dość że serduszko kapitanowej, śmiech powiedzieć, Honoratkę sobie wyobraziło za rywalkę!

Ileż zaklęć, ileż przysiąg trzeba było, aby uciszyć lęk pani Anny, aby dowieść jej, że pomimo spodziewanego szturmu, gwardya strzedz będzie, jak co dzień, ładu w mieście — że ów szturm nie sięgnie murów Warszawy, że kule armatnie nawet okopów nie dojdą, że jej nic nie grozi, że jemu nic, nic zgoła, że Honoratka jest sobie kawiarką, która równie do niego, jak do wszystkich gości wdzięczyć się rada, że nakoniec jest taką pospolitą jejmością, tak nie ciekawą, że pani Anna, wypominając taką, grzeszy, grzeszy okrutnie.

A potem — ileż całusków, ileż rzewnych słówek zużyć musiał generał na mitygowanie pulsujących żyłek, na ochłodzenie rozpalonych skroni, na ochłodzenie spieczonych ustek.

Lecz gdy nareszcie główka pani Marchockiej do piersi Bema się przytuliła, gdy harmonijny jej głosik zabrzmiał mu pełnią czystego dźwięku, generała ogarnęło uczucie takiego szczęścia, jakiego dotąd wyobrazić sobie nie umiał.

Utrudzonym był bardzo, bardzo. Od świtu chwili nie miał odpocznienia. Te eksplikacye znużyły go, wyczerpały... lecz dają mu teraz błogość, dają świadomość ciszy pogodnej, niebiańskiej.

Mogłaż być na świecie istota, którąby zdolen był równie gorąco miłować?

Przeciągły, smutny łomot rozległ się hen w dali.

Bem spojrzał niepewnie ku niebieskim roletom, z poza których skradało się szare światło brzasku.

Naraz, jakby w odpowiedzi łomotowi — zagrzmiała piekielna salwa. Kamieniczka zatrzęsła się. Szyby jęknęły żałośnie.

Pani Marchocka zarzuciła Bemowi rączki na szyję.

— Józefie, na Boga, nie odstępuj mnie, nie opuszczaj!

— Ciebie opuścić kochanie? Uspokój się, dziecino, to kanonada... Do szturmu pewno dziś wcale nie przyjdzie! A gdyby nawet...

— Więc nie odejdziesz mnie, nie pójdziesz!? — błagały koralowe usteczka pani Anny.

XXIV.

Fort pod Odolanami, co na wedecie wolskiej stał pozycyi, nie dał tego dnia zwieść się bieli oparów wrześniowego poranku. I miast lunetami je przezierać — narychtował paszczę spiżową i wypalił.

Od strony Chrzanowa sto armat mu odpowiedziało, sto pocisków targnęło oparami.

Fort wszystkimi łysnął lonty. Czające się za nim reduty zawtórzyły fortowi.

Rozmowa się zaczęła. Rozmowa szarej, ziejącej gromami dali z zamienionemi w wulkany gniazdami redut. Rozmowa sześćdziesięciu fortecznych potworów ze stadem stu furyi.

Dymy armatnie skłębiły się z oparami. Siny całun okrył wolskie równiny. Chmury żelaza rwały ku sobie na oślep.

Aż z poza rozpływających się we mgle spiętrzonych konturów Warszawy, trysnęły na ołowiane podniebie krwawe smugi. Wschód rozgorzał. Silnie celownice zgrzytnęły. Chrzanowskie baterye i wolskie reduty dosięgły się wzajemnie — ogarnęły, wypatrzyły. Za cios płaciły sobie ciosem, na salwę salwą odpowiadały. Bas ciężkich dział fortecznych brzmiał pełniej, hardziej.

Wtem na salwę redut, miast chrzanowskich armat, odpowiedziało czterdzieści z pod Jelonek, pięćdziesiąt z pod Zborza, sześćdziesiąt z pod Włoch, czterdzieści z pod Rakowca...

Reduty na wsze strony wyszczerzyły swe działa, lecz bas ich utonął, rozpłynął się w złowrogim huku.

Feldmarszałek już trzystu armatami raził i raził coraz mocniej, bo je toczył ku redutom, bo sto czterdzieści paszcz Kreutza i Pahlena wymierzył na fort odoliński i redutę pod Szczęśliwicami, która między traktami krakowskim i kaliskim strażowała.

Pięć armat liczył fort, pięć również miała do obrony reduta. Wspomagał obie ostróg wolski Sowińskiego — lecz ostróg posiadał ich raptem dwanaście.

Zapasy były krótkie. W pół godziny reduta umilkła. Kreutz skinął na dywizye Gejsmara i Sulimy. Dwie kolumny rzuciły się na zryte kulami rozsypiska reduty. Zalały bezbronne schrony pięćdziesiątej piątej fortyfikacyi i rażąc z niej redutę, objęły ją pierścieniem.

Pół batalion piechoty zaszamotał się z dywizyą Kreutza, krwią ją zbluzgał i legł pokotem na szańcach. Dowódzca reduty, Ordon, tarzał się okaleczony. Na reducie wionął dumnie sztandar białozierskiego pułku. Lecz w tej samej chwili huk podziemny zatrząsł redutą. Wyrwał z posad jej garby szańców, wystrzelił ku niebu kłębami piachu, złomami kamieni, palisad, spiżu i ludzkiej miazgi i jedną mogiłę usypał i zwycięscom i zwyciężonym.

Podczas gdy na kurhanie reduty nieszczęsnej

rodziła się już legenda o Ordonie, podczas gdy ranny dowódzca jej ani spodziewał się, że go baśń tęczowa patronem zamianuje szańca — tuż na Woli wtóra zaczynała się legenda, wtóra pieśń gminna.

Fort odolański bronił się zajadlej, dzielniej. Bo choć dwustu tylko miał żołnierzy, lecz przedpiersienia tęższe, bo był dwuramiennikiem lunetą, bo za nim tuż ogniem swych armat osłaniał go ostróg wolski.

Lecz Pahlen atak swego korpusu wsparł kartaczami rezerwowej artyleryi. Dwuramiennik nie ostał się, bo jeden bagnet nie mógł się ostać stu bagnetom, bo pięć armat nie mogło pięćdziesięciu sprostać.

Droga do ostrogu wolskiego stanęła otworem.

Feldmarszałek nie dał wytchnąć Pahlenowi i Kreutzowi.

Na kurhan reduty, na fortyfikacyę sąsiednią i na szańce dwuramiennika zaciągnięto rosyjskie armaty. Baterye konne półkolem ruszyły ku ostrogowi. Dwadzieścia cztery tysięcy wyborowego żołnierza stanęło w pogotowiu.

Paskiewicz skinął i dziewięćdziesiąt czeluści zionęło.

Sowiński miał tylko dwanaście.

Gdy się to działo, w głównej kwatrze polskiej panowała wyczekująca cisza. Cóż — generałowie byli na pozycyach, wojsko pod bronią według planu. Na kanonadę feldmarszałka odpowiadały reduty. Więc aby czuwać należało, aby pod osłoną tej pukaniny nieprzyjaciel Mokotowa nie zaskoczył.

Lecz owa pukanina coś tak gwałtownie się wzmagała, że wódz z prezesem Rządu, jedną myślą wiedzeni, ruszyli do mokotowskich rogatek. Tu atoli nad podziw spokojnie było. Szaniec pod Wierzbnem spierał się z dwoma bateryami o Szopy — zresztą cisza. Umińskiego nie było jeszcze na stanowisku — i nie dziw, do świtu prawie zmagał się z szańcami.

Była godzina dziewiąta rano. Przed południem więc Paskiewicz się tu nie ruszy.

I wódz naczelny z prezesem zawrócili w stronę wolskich rogatek, aby i tam przytomnością swoją dodać otuchy. Kocz generała Krukowieckiego potoczył się ociężale.

Droga była daleka. Konie znużone rozgonami i strachające się huku armatniego. Nadomiar na ulicach tłumy ludu, tłumy, niechętnie ustępujące na zbocza, tłumy głuche, ponure, zezujące na eskortujących kocz ułanów. Stąd Krukowiecki na widok straży, zamykającej wylot dojazdu do wolskich okopów, odetchnął z ulgą.

Tu jednak, miast spodziewanych wiwatów, które miały odpowiedzieć na przemówienie, jakie prezes Rządu kalkulował sobie do żołnierzów wygłosić — spadł na kocz dygnitarzy adjutant Dębińskiego:

— Trzy reduty zdobyte! Sowiński otoczony!

Krukowiecki z Małachowskim porwali się z kocza na siodła wierzchowców i pocwałowali za adjutantem do Dębińskiego.

Przybywali w samą porę, bo dowódzca korpusu wolskiego alteracyę swoją na Prądzyńskiego zamierzał wywrzeć. Sędziwa postać zastępcy naczelnego wodza pohamowała nieco zapalczywość Dębińskiego.

Była klęska. Dwie reduty opanował feldmarszałek — trzecia się nie liczy, bo nie była obsadzona. Główny atak z tej strony idzie. Sowiński zagrożony! Kto winien? — Prądzyński winien! — Nie Prądzyński, bo owszem on napomykał, nawet w protokole zapisano, że zwracał uwagę. Sam generał Małachowski był tego zdania i Umiński i Krukowiecki i Maletski! — Nie należało reduty numer pięćdziesiąt pięć opuszczać, pozbawiać ją armat! — Jakto, więc ściągnięto armaty? — A właśnie i to wczoraj. Niesłychane! Wobec tego Ordon nie mógł!... — Bierz dyabli reduty! Trzeba czynić!

— Trzeba!

— Trzeba rezerw, trzeba artyleryi!

— Gdzie Umiński?

— Bema należy. — Bema natychmiast!

Dębiński dwóch ordynansów wysłał po niego. — Niema Bema! — Do milion, powinien być na stanowisku! Wołać, szukać, do kroćset! Po Umińskiego co koń!!

I adjutanci rozpadli się na wsze strony.

Generalicya zaś jęła w oczekiwaniu na rezerwy, na Umińskiego, na Bema, organizować odsiecz.

Więc generałowi Ruthié nakazano ruszyć z pod Powązek dwa bataliony piechoty — Dłuskiemu wysunąć brygadę kawaleryi, stojącej pod Parysowem, Rybińskiego wyprawiono traktem krakowskim.

Licha to była pomoc, bo równocześnie Chiłkow pod Górce się zbliżał, Murawiew szedł na Rakowiec a od strony Opacza dudniły nowe łańcuchy artyleryi. Siedm tysięcy nieprzyjaciela stawało jeszcze do boju.

Ogień działowy wzmógł się.

Nareszcie przybył Umiński — Bema wciąż szukano.

Bem tymczasem ledwie około dziesiątej wysunął się ze swego mieszkanka i zdążał w stronę luterskiego kościoła, aby zawczasu z wysokości wieży rozeznać pozycye i nabrać oryentacyi.

Zresztą nie spieszył się. Według planu rezerwa artyleryi do popołudnia miała wyczekiwać. I tak nadto rychło opuścił panią Annę, rychlej niżby pragnął. Lecz musiał korzystać z chwili, w której utrudzenie zamknęło jej powieki. Inaczej nie miałby może siły, nie miałby woli oprzeć się jej zaklęciom. Obowiązek stądby ucierpiał, powinność, którą ma do spełnienia...



Trzy reduty zdobyte! — Sowiński otoczony!

Ale kto wie, kto wie, czy feldmarszałek nie zaniecha ostrzeliwania, bo jak przewidywał Krukowiecki, będzie straszył miasto, aby łatwiej do paktu dojść. Gdyby zaniechał, Bem momentu nie zbałamuci i wyrwie się do swego gniazdka, na skrzydłach doń powróci.

Na tę myśl generała rozmarzenie ogarnęło. Szedł, zbliżał się do luterskiego kościoła — a witał już panią Marchocką, czuł dotknięcie jej delikatnych rączek, napawał się jedwabiami jej miękkich splotów, tonął w jej spojrzeniu. I widział ją przy sobie tak bliską, tak uchwytną, że nawet mroki krętych schodów na wieżę nie zdołały mu miłowanego widzenia zgasić.

Blask światła i wiew powietrza natrętny przejął generała.

Kilka mundurów inżynierskich przypadło doń. Bem skinął im przyjaźnie i zagadnął.

Pięć naraz ozwało się głosów, głosów tak zdławionych, pomieszanych, iż Bem zmarszczył się i porwał za lunetę.

— Tam, generale, wprost! — chciał objaśniać pułkownik Rossman.

Bema dojęło.

— Pozwól, pułkownik, że sam rozpatrzę!

Generał narychtował lunetę w lewo, na wstędze Wisły ją zaparł i prowadził wolno.

Wisła i sieleckie forty... brygada Czyżewskiego, tu cisza. Mokotów — pod Wierzbnem potyczka... Widać! Jakby straż przednia korpusu. — Piechota Milberga następuje.

A! — Rakowiec atakują! Dziewięć redut do zgryzienia. Nie zdołają — najtęższa pozycya!

Bem przesunął lunetę. Dymy kłębiące się snać zmyliły mu widok, bo szkło przetarł, silniej oko zmrużył.

— Do pioruna... wszak tu reduta! — Tu być powinna!...

— Wzięta, generale.

Luneta zadrżała zlekka i skierowała się ku prawej i zamarła w bezruchu.

Bemowi natężony wzrok mgłą zaszedł... Plątało mu się w oczach. Z blasku chyba!... Ostróg Sowińskiego wypada na wprost szańca prawego, broniącego traktu. Szaniec jest... tu... a przed nim — bastyon południowy widać teraz i dzwonnicę kościółka, przylegającego tuż... Tu artylerya półkolem... a tam czarna, długa wstęga płynie z odmętu i oto pnie się, wdziera na przedpiersienia ostrogu...

Bemowi pot zimny, kroplisty, wystąpił na czoło. Zgarbił się, pochylił, jakby rzucić się chciał z wieży między kotłujące dymy, przed bluzgające spazmatycznym ogniem schrony ostrogu.

Rossman ozwał się do generała. Bem odetchnął, obrzucił pułkownika krwią nabiegłemi oczyma i rzucił się do schodów.

W pół godziny niespełna Bem dopadł stojącej pod Czystem rezerwowej artyleryi. Generał Chorzewski, który już na własną rękę do wystąpienia się gotował — chciał Bemowi rozkazy wodza prezentować, lecz Bem ani go słuchał. Na prawem skrzydle warowała w pogotowiu baterya Orlikowskiego. Bem huknął na trębaczy.

Baterya zgrzytnęła i naprężyła szleje.

— Naprzód! — arsz!

Bem spiął konia ostrogami. Forbacze konnowodnych mlasnęły i baterya runęła w odmęt, na Wolę, na chmury spiżu, na odsiecz Sowińskiemu.

Baterya, prowadzona przez Bema, wyrwała się przed drugą linię szańców — zawróciła w bok pod wiatraki i rozpoczęła ogień.

Tu jednak dopędził ją major dziesiątego pułku piechoty, Switkowski.

— Generale... prowadzimy z Wysockim batalion piechoty... do ostrogu!

— Nic mi do was! — Jednonogi pod kąt!

— Następujemy cmentarzem! — chrypiał Switkowski.

— Będzie wam poręczniej!

— Krzyżowy ogień — nie zdołamy!

Dwa granaty zaorały piachem tuż przed baterią. Orlikowski ryknął na ogniomistrzów o wysówki celownicze.

— Generale! — upominał znów Switkowski.

Bem targnął się.

— Więc prowadźcie! — Daję wam kwadrans czasu! — Dalej!

Switkowski pochylił się po koniu.

Baterya nową wygarnęła salwę.

Orlikowski pienił się.

— Do ośmnastej linii, psie krwie! Pilnuj wysówek! Iliński, do stu tysięcy! — Dziury w dymie, szelmy jedne, dłubią...

Bema podrzuciło na siodle.

— Dosyć mazgajstwa! Nie czas na wysówki! — Zakładaj przodki!

— Zakładaj!

Baterya sprzęgła się, zawinęła ogonem i pomknęła wprost na czarne pasma idącej do szturmu piechoty rosyjskiej.

(Dokończenie nastąpi).







Ignacy Rychlik
Jarosław-Łańcut-Przeworsk.

Dr. Władysław L. Jaworski
Jasło-Gorlice-Grybów-Biecz.

Wincenty Jabłoński
Sanok-Dobromil-St. Sambor-Krosno.

Dr. Władysław Stesłowicz
Sambor-Gródek Jagielloński.

Dr Natan Löwenstein
Drohobycz-Turka-Bolechów-Skole.







Inż. Andrzej Moraczewski
Stryj-Kałusz.

Wacław Zaleski
Brzeżany-Banówka-Demnia-Hucisko.

Dr. Ignacy Steinhaus
Żółkiew-Rawa ruska-Sokal.

Dr. Henryk Kolischer
Brody-Stare Brody-Hucisko.

Dr. Alfred Halban
Rozdół-Żydaczów.







Dr. Ignacy Wróbel — Jan Zarański
Jaworzno - Chrzanów - Krzeszowice.

Wincenty-Witos
Radłów-Tarnów-Tuchów

Ludwik Dobija — Jan Kubik
Biała - Kęty - Andrychów.







Dr. Antoni Matakiewicz
Radłów-Tarnów-Tuchów.

Jakób Bojko — Andrzej Kędzior
M i e l e c - D ą b r o w a.

Dr. Zygmunt hr. Lasocki — Jan Bis
Nisko - Tarnobrzeg - Rozwadów.

Kronika tygodniowa.

W dniu 1 lipca stał się fakt, powitany przez parę naszych pism wybuchami taniej patryotycznej liryki. W każdej redakcyi bowiem znajduje się taki pa', który ma obowiązek według potrzeby wzruszać się i płonąć ogniem patryotyzmu. Stąd też czytaliśmy między innemi: „Dzień wczorajszy przyniósł całej Polsce radosną wieść, niosącą w serca pełną otuchy wiarę, napawającą umysły świetlaną nadzieją lepszej przyszłości...“

Co takiego się stało? Czy może na horyzoncie politycznym ukazała się jakaś gwiazda, wzbudzająca „świetlaną nadzieję“, czy może zdobyliśmy się na jakiś wielki czyn zbiorowy, zapowiadający „lepszą przyszłość“? Nie — ta „wieść radosna“ jest bardzo skromnej treści. Oto po rzeczywistem, na mocy układu finansowego, ustąpienia przed kilku laty wojska austryackiego z właściwych zabudowań zamkowych na Wawelu, pozostała jeszcze poza Zamkiem, w nowych przybudówkach, mała garstka żołnierzy austryackich, która 1 lipca przeniosła się na nową siedzibę. Zapewne, że i ten drobny fakt może nam być przyjemny, ale do uderzania w tryumfalne dzwony nie było bynajmniej powodu. „Wieścią radosną“ był ów układ przed laty zawarty, „wieścią radosną“ było ustąpienie wojska z właściwych murów zamkowych, ale wiadomość o tym końcowym epizodziku, lubo warta zaznaczenia, nie była tego rodzaju, abyśmy na jej podstawie, zapominając o ciężkich warunkach naszego bytu, „napawali umysły świetlaną nadzieją lepszej przyszłości“. Owszem z wiadomością tą łączy się troska o przyszłe losy tych świętych murów. Zbyt ciężkie chmury idą od zachodu, a my tu przedstawiamy tak mało odporności, tak czujemy wzrastający już zalew żywiołów, tak tu się nam „na kresach“ ziemia z pod nóg usuwa, że nie czas zaiste na optymizm, bo ten tylko oczy na bliskie niebezpieczeństwo zasłania.

Oczywiście przy sposobności nie omieszkali „lirycy“ popisać się ze swą wiedzą historyczną. Jeden z nich prawił, że opuścił swój posterunek ostatni żołnierz austryacki, pełniący od stu lat z górą straż na Wawelu. Uczony ten historyk zapomniał o tem, że przed stu laty posterunek ów zajmował żołnierz polski Księstwa Warszawskiego, wprowadzony na Wawel w r. 1800 przez ks. Józefa Poniatowskiego, po 14 latach „niewoli austryackiej“, że ten żołnierz polski stał tam do r. 1815, w którym go zastąpił żołnierz także polski, bo Rzeczypospolitej krakowskiej czyli wolnego miasta Krakowa, a dopiero w r. 1846 Austrya *jure caduco* zawładnąwszy Krakowem, wprowadziła i na Wawel owego „od stu lat z górą pełniącego straż żołnierza“. Nie zawadziłoby przeto mniej liryki, a więcej znajomości historyi.

Lirykiem jest również nowo wybrany poseł hrabia Mikołaj Rej. Jest to nowy, oryginalny (nie powiem że niesympatyczny) okaz arystokraty, hr. Rej należy bowiem do ludowców, którzy mają w swem gronie i drugiego hrabiego, również nowo wybranego posła Lasockiego. Otóż ów hrabia ludowiec, noszący imię i nazwisko ojca polskiej literatury, wpadł w zapał na wiadomość o zwycięstwach wyborczych swego stronnictwa i cieszy się, że „potężny klub ludowy pójdzie pod Wiedeń bronić spraw narodowych, jak ongi ojcowie nasi to czynili, zwycięstwo i chwałę narodowi przynosząc“. W tym wybuchu uczucia są wszakże małe niedokładności. Wprawdzie nasi ojcowie poszli raz pod Wiedeń, ale niestety narodowi przynieśli tylko chwałę, a zwycięstwo, lub ściślej mówiąc, korzyści ze zwycięstwa odniósł kto inny. Następnie klub ludowy nie pójdzie pod Wiedeń lecz do samego środka Wiednia, a czy i kogo zwycięży, nie wiemy. Może odniesć zwycięstwo w Kole polskiem, ale to będzie zwycięstwo nie nad wrogiem, lecz swoimi, a jak na tem zwycięstwie wyjdzie „obrona spraw narodowych“, to pytanie, wzbudzające poważną troskę. Sobieski przyniósł przynajmniej chwałę, czy następca jego, poseł Stapiński, pójdzie w te ślady, ośmielamy się mocno wątpić na podstawie dotychczasowej jego działalności.

Do zwycięstwa i chwały również dąży wydział Towarzystwa opieki nad zabytkami polskimi sztuki i kultury, wysyłając swe hufce pod Raperswill, dla obrony tego zamku przed najezdzcą Kara Mustafą-Różyckim. Ale i tu zachodzą poważne różnice w porównaniu z wygraną wiedeńską. Sobieskiego o pomoc na klęczkach błagano, a Rada nadzorcza Raperswillu nietylko o pomoc nie prosi, ale jest dotychczas w ścisłem porozumieniu z najezdzcą. A kogo nie proszą, tego za drzwi wynoszą. Obawiać się należy, że Rada nadzorcza Raperswillu trzymać się będzie tego przysłowia. I bardzo jej się dziwić nie będzie można. Rada jest prawną i jedyną opiekunką Raperswillu — może jej postępowanie być naganne, może cała ta wrzawa przeciw kustoszowi Różyckiemu (mimo swej krzykliwości) jest usprawiedliwiona, ale to jeszcze nie znaczy, aby jakieś Towarzystwo nadawało sobie prawo wysyłania delegatów na zjazd Rady nadzorczej. Co by ci panowie powiedzieli, gdyby na ich walne zgromadzenie przybyli ludzie nieproszeni, nienależący do Towarzystwa i chcieli mieć wpływ na jego uchwały. Jeżeli jest źle, niech opinia protestuje, niech Towarzystwo stanie na czele tych protestów, niech zmusi moralnie Radę do poprawy lub ustąpienia. Ale taki projektowany najazd i wzywanie do tego najazdu rad miejskich i Wydziału krajowego, wygląda komicznie i... anarchistycznie. O Raperswill, instytucyę powstałą zabiegami i funduszem jednego człowieka, mało się kto u nas troszczył, owszem lekceważono go, oddawna usiłowano usunąć ten posterunek. A dziś wzywa się do krucyaty całą Polskę przeciw jego Radzie nadzorczej i pisze się szeroko o „skarbach“ zagrożonych.

Nie chcąc, aby nas źle zrozumiano, powtarzamy, że jeżeli w Raperswillu jest źle, to każdy ma moralne prawo i obowiązek odezwać się ze słowami przestrogi czy nagany, wpływać na opinię, użyć wszelkich środków, aby otworzyć oczy uprawnionym jej strożom. Ale presya tego rodzaju, jaką proponuje Towarzystwo obrony zabytków i kultury jest wprost niedopuszczalną. Zażądajcie panowie, aby wezwano waszej rady, skłońcie Akademię Umiejętności, aby swą powagą wpłynęła na zaproszenie was na zjazd, zaproponujcie, aby sama Rada powołała z ludzi fachowych komisyę, mającą zbadać zarzuty postawione kustoszowi i udzielić wskazówek, jaką należy rozciągnąć opiekę nad zbiorami — a wszyscy staną po waszej stronie, cała opinia was poprze. Lecz niekulturalnym środkiem jakiegoś na jazdu nie psujcie panowie dobrej sprawy i nie dawajcie złego świadectwa swojej... kulturze.

Wielki szturm na Raperswill schodzi się z wielkim szturmem narodowej demokracyi do pałacu pod trzema kawkami. Na zebraniu w Krakowie i na licznych zebraniach na prowincyi, obwoływano pospolite ruszenie przeciw czasowemu władcy tego pałacu, JE. Bobrzyńskiemu. Największą manifestacyą jednak było przyjęcie dra Głąbińskiego na dworcu lwowskim. Brali w niem udział: prezes Rady narodowej, prezydent miasta, posłowie, marszałkowie i delegaci rad powiatowych, prezesi najpoważniejszych instytucyi, senat Uniwersytetu i Politechniki, radni miasta, przedstawiciele organizacyi narodowych, różni wreszcie delegaci i delegatki. Przemawiali: hr. Stadnicki, który wspomniał o „zwalczaniu swoich“, o „podstępnem osiadaniu zawistnych“, rektor Uniw. ks. Jaszowski, oddający hołd „niezachwianemu chorążemu polskiego sztandaru“, wreszcie prezydent Ciuchciński w imieniu rady miasta. Głąbiński w odpowiedzi wspomniał o „brutalnej sile święcącej chwilowe tryumfy“ i z naciskiem oświadczył, że „każdy polityk polski, który rozbija jedność narodową, zaprawiając jedne stronnictwa polskie przeciw drugim do nienawiści i walki, jest szkodnikiem narodowym“. Równocześnie odbywał się wiec, na którym nie padały słowa miłości do JE. Bobrzyńskiego, a po wiecu odbył się kilkotysięczny korowód z pochodniami do mieszkania JE Głąbińskiego, przed którem również kilka przemówień antikawkowych wygłoszono.

W tej walce dwu Ekscellencyi nie mamy zamiaru brać jakiegokolwiek udziału, notujemy tylko fakt jej istnienia. Ciekawą jej stroną jest to, że w rzędzie zwolenników narodowej demokracyi a przeciwników polityki t. zw. stańczykowskiej i jej metod, reprezentowanej przez JE. Bobrzyńskiego, znajdujemy coraz częściej nazwiska arystokratyczne. Że hr. Skarbek jest narodowym demokratą, o tem dawno wiemy, ale oto hr. Jan Potocki z Rymanowa palnął niedawno ostrą filipikę przeciw p. namiestnikowi, a hrabia Władysław Dzieduszycki skarżył się w otwartym liście, że występując w okręgu Stanisławów—Tłumacz, jako kandydat mniejszości polskiej, nie doznał „choćby życzliwej obojętności władz rządowych“ czyli namiestnikowskich. Obecnie hrabia Stanisław Stadnicki wita dra Głąbińskiego na progu Lwowa i wydaje swój sąd ujemny o postępowaniu namiestnika, a wśród przybyłych na owo powitanie wymieniają pisma hr. Starzeńskiego z Żydaczowa, hr. Juliusza Korytowskiego z Tarnopola, hrabiów Edmunda i Konstantego Dzieduszyckich. Więc albo coś się psuje w naszym konserwatyźmie, albo hrabiów mamy tak wielu, że ich dla wszystkich stronnictw wystarczy (przykładem Rej i Lasocki u ludowców). Tylko demokraci krakowscy nie mają biedacy ani jednego hrabiego, choć tak pracowali nad oczyszczeniem hr. Wodzickiego. No i socyaliści hrabiów nie posiadają, choć poseł Diamand wygląda prawie jak hrabia.

Ten poseł Diamand wraz z posłami Daszyńskim, Markiem, Grossem i t. d. mają między innemi wywalczyć nam tańsze mieszkania. Jeżeli to się ziści, nietylko my, nieszczęśliwi lokatorzy, pomnik im (w naszych sercach, bo to taniej kosztuje) wystawimy, ale i skłonimy najpiękniejsze dziewice lokatorki, aby obdarzyły ich gorącymi uściskami i pocałunkami. Bo na wdzięczność tych dziewic lokatorek zasłużą przez to, że młodzież dziś z powodu wysokich czynszów usuwająca się od założenia domowych ognisk, będzie je prawdopodobnie wówczas na gwałt rozpalała. Swoją drogą radziłbym kamienicznikom, aby nie czekając na rezultat starań posłów socyalistycznych, sami do obniżenia czynszów przystąpili, bo łatwo doczekać się mogą strasznych skutków swego wyzysku. Lokatorzy coraz więcej się burzą, coraz więcej są niezadowoleni — więc dość jednej iskry, aby eksplozya nastąpiła. Telegramy świeżo doniosły, że pewien robotnik w Plauen zabił siekierą właścicielkę domu za podwyższenie czynszu i gwałtowne o niego upominanie się. A zły przykład działa.

Nawet niepowodzenie nie odstrasza. Oto za przykładem prof. Schenka, który utracił katedrę na uniwersytecie, skompromitowawszy się teoryą o możności nadawania żądanej płci potomstwu, poszedł świeżo prof. Ciesielski ze Lwowa. Nie twierdzę bynajmniej, że się również skompromituje, — może być, że będzie szczęśliwszy od swego poprzednika, ale wynalazek jego budzi nie tyle zaciekawienie, co ironiczne uśmiechy. Szanowny profesor jako botanik wykrył miał u konopi, jak się tworzą osobniki męskie, a jak żeńskie. Później czynił doświadczenia nad królikami, psami i końmi, wszystkie uwieńczone dobrym rezultatem. A więc zaczął udzielać rad ludziom i twierdzi, że rady te były skuteczne. Dotychczas prawa wykrytego przez siebie nie ogłaszał, obawiając się „przewrotu w społeczeństwie“, ale ażeby go kto nie ubiegł, napisał i ogłasza swoje odkrycie w zmienionym alfabecie, do którego tylko syn jego klucz posiada. Otóż jeżeli masz czytelniku pół tuzina córek, a napróżno czekasz następcy tronu, to trzeba: *awcmsi akgrcogros lapwuogkg waldc*, a co to znaczy, to wytłómaczy ci prof. Ciesielski. Tenże poda ci przepis i na córki.

Słusznie jednak obawia się prof. Ciesielski, że teorya jego poszedłszy na drogę ogólnej praktyki, mogłaby wywołać przewrót w społeczeństwie. — Nużby każdy chciał mieć synów, bo to mniejszy kłopot, a wówczas ludność mogłaby pomału wymrzeć. Chyba, że rządy i parlamenty wejrzałyby w tę sprawę i wydały ustawowe przepisy, normujące stosunek liczbowy płci do siebie. Każdy wstępujący w stan małżeński musiałby się zobowiązywać że będzie zarówno uwzględniał obie formułki prof Ciesielskiego, męską i żeńską. Ale wówczas byłoby to samo, co jest dzisiaj: stosunek liczbowy obu płci jest mniej więcej równy. Możeby więc zostać lepiej przy starym zwyczaju.

Kończę moją kronikę w chwili niezwyczaj brzemiennej. Oto zanim dostanie się ona do rąk Czytelników, odbędzie się wybór obu wiceprezydentów Krakowa. Znaczenie ich stanowisk wzrasta przez to, że p. prezydent znaczną część roku będzie spędzał jako poseł w Wiedniu — zatem jeden wice-papa musi spełniać jego obowiązki. Ludzka łamią sobie głowy nad tem, kto wyjdzie z urny i czy wskutek tego nam, wiernym poddanym świetnej rady i świetnego magistratu, będzie lepiej, czy gorzej. Co do mnie, jako optymista twierdzę, że bez względu na to, kogo los wyniesie, nie będzie nam gorzej, a jako pesymista przypuszczam, że nie będzie nam i lepiej.

Andrzej Średniawski — Dr. Antoni Banaś
Wadowice - Kalwarya - Myślenice.

Władysław Długosz — Jakób Madej
Gorlice - Biecz - Jasło.

Józef Rusin
Maków-Sucha-Żywiec

Mikołaj hr. Rey — Michał Jedynak
Pilzno - Ropczyce - Dębica.

Stanisław Śmiłowski
Limanowa-Nowy Targ.

Inż. Klaudyusz Angerman
Rzeszów - Głogów - Kolbuszowa.

Zygmunt Klemensiewicz
Kraków - Podgorze - Wieliczka.

Jan Stapiński — Franciszek Łyszczarz
Krosno - Strzyżów - Frysztak - Żmigród.

Dr. Stanisław Biały — Antoni Bomba
Brzozów - Tyczyn.

Wincenty Myjak
Nowy Sącz-Grybów-Muszyna.

Andrzej ks. Lubomirski — Józef Jachowicz
Łańcut - Przeworsk.

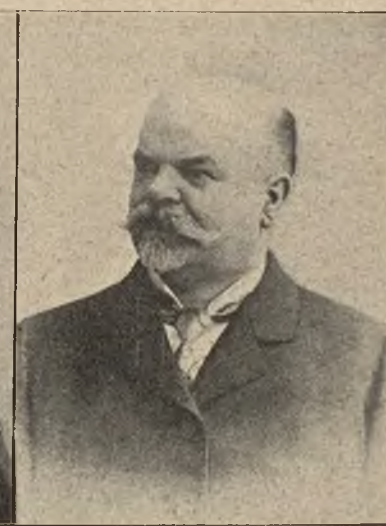
Włodzimierz Kryłowicz
Sanok-Rymanów-Dukla.

Dr. Włodzimierz Kozłowski
Jarosław-Lubaczów-Cieszanów.

Dymitr Markow
Sokal-Zborów-Brody-Łopatyn.







Adam Ruebenbauer
Bochnia-Brzesko.

Dr. Aleksander hr. Skarbek Ks. Stefan Onyszkiewicz
Sądowa Wisznia - Rudki - Sambor.

Dr. Władysław Czaykowski Grzegorz Ceglński
Przemyśl - Dynów - Mościska - Dobromil.







Dawid Abrahamowicz Ks. Józef Folis
Lwów-Winniki-Gródek.

Dr. Konstanty Lewicki Tymoteusz Staruch
Brzeżany - Rohatyn - Bolechów - Żurawno.

Władysław Dębski
Złoczów-Kamionka-Strum-Olesko.







Michał Petrycki Adam hr. Gołuchowski
Skałat - Podwołoczyska - Kopyczyńce - Husiatyn.

Jan Zamorski
Tarnopol-Zbaraż.

Jerzy hr. Baworowski
Trembowla-Czortków.

Wieczysław Budzynowski
Buczacz-Monasterzyska-Podhajce.







Semen Wityk
Baligród-Turka-Drohobycz.

Dr. Teofil Okuniewski
Borszczów-Zaleszczyki-Śniatyn.

Dr. Eugeniusz Lewicki
Tłumacz-Stanisławów-Halicz.

Dr. Eugeniusz Oleśnicki
Stryj-Skole-Żydaczów.

Dr. Cyryl Trylowski
Kołomyja-Żabie-Kossów.

Nowi rektorowie we Lwowie.

Grona profesorskie dwu instytucyi naukowych we Lwowie, wybrały ubiegłego tygodnia nowych rektorów, mianowicie Politechnika i Akademia weterynaryi.

Rektorem Politechniki wybrany został Tadeusz Fiedler, długoletni i zasłużony dla nauki polskiej profesor lwowskiej Politechniki, wykładający teoryę maszyn. Prof. Fiedler ukończył Politechnikę lwowską w r. 1879. Z dyplomem inżyniera pracował we Lwowie, następnie przez siedm lat służył przy marynarce austryackiej, a w r. 1893 przybył do Lwowa z Berlina, gdzie przez rok na uniwersytecie tamtejszym studyował matematykę. Wstąpiwszy na Politechnikę jako profesor nadzwyczajny, niebawem mianowany został rzeczywistym profesorem, a w r. 1902 po raz pierwszy rektorem. Wiele zasług położył prof. Fiedler około rozwoju lwowskiego Towarzystwa Politechnicznego, które mianowało go swoim członkiem honorowym. Zasilił też hojnie naukę polską bardzo wielu pracami fachowemi. Od dłuższego czasu jest prof. Fiedler członkiem krajowej rady szkolnej i krajowej komisyi przemysłowej. Na obu tych posterunkach oddaje dużo pożytku krajowi. Niemniej dzielnym jest obywatelem. Zaufanie kolegów profesorów obdarzyło go już po raz drugi godnością rektora Politechniki.

Rektorem Akademii weterynaryi będzie obecnie dr. Stanisław Królikowski, profesor chirurgii, wielce zasłużony pracownik na polu nauk weterynaryjnych, długoletni redaktor „Przeglądu weterynaryjnego" i docent akademii rolniczej w Dublanach. Urodzony w Warszawie, tam też ukończył studya, a następnie przeniósł się do medyczno-chirurgicznej akademii w Petersburgu. Odrzuciwszy propozycyę objęcia profesury w instytucie weterynaryjnym w Charkowie, objął katedrę w zakładzie weterynaryjnym w Warszawie, a w r. 1884 powołany został do Lwowa. Początkowo jako adjunkt, a następnie od r. 1892 jako zwyczajny profesor akademii weterynaryi do obecnej chwili z wielkim pożytkiem dla jej słuchaczów i nauki pracuje. W zabiegach o przekształcenie lwowskiej szkoły weterynaryjnej na akademię był prof. Królikowski bardzo pomocny dotychczasowemu rektorowi prof. dr. Szpilmanowi. Na nowem stanowisku odda nowy rektor niewątpliwie wielkie zasługi akademii i jej słuchaczom.

Miłośnicy zabytków sztuki.

W ubiegłym tygodniu zjechali się w Krakowie miłośnicy ojczystych zabytków sztuki i historyi, zaproszeni na wspólne obrady przez dwa grona konserwatorów, t. j. wschodniej i zachodniej Galicyi. Wśród uczestników byli także St. hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, ks. biskup Nowak, delegat Fedorowicz, rektor Zoll, wielu profesorów uniwersytetu i t. d. Obrady toczyły się w auli uniwersytetu.

Przybyłych powitał dr. Tomkowicz, dziękując reprezentantom kościoła, władz, instytucyi naukowych i stowarzyszeń kulturalnych za współudział w pracach zjazdu. Zjazd ten jest pierwszym tego rodzaju, a ma wielkie znaczenie. Grono konserwatorów mianowicie postanowiło odwołać się w sprawie ochrony pamiątek i zabytków sztuki do całego wykształconego społeczeństwa i liczy na jego pomoc.

Po przemówieniu delegata ministerstwa oświaty p. J. Kieszkowskiego i wiceprezydenta miasta p. Sarego, wybrano przewodniczącym architekta Dziekońskiego z Warszawy, a zastępcami ks. Mrozowskiego i prof. dr. Hadaczka. Następnie przystąpiono do obrad, zainicyowanych referatem radcy dr. Muczkowskiego na temat: Stan dzisiejszej nauki o konserwacyi zabytków.

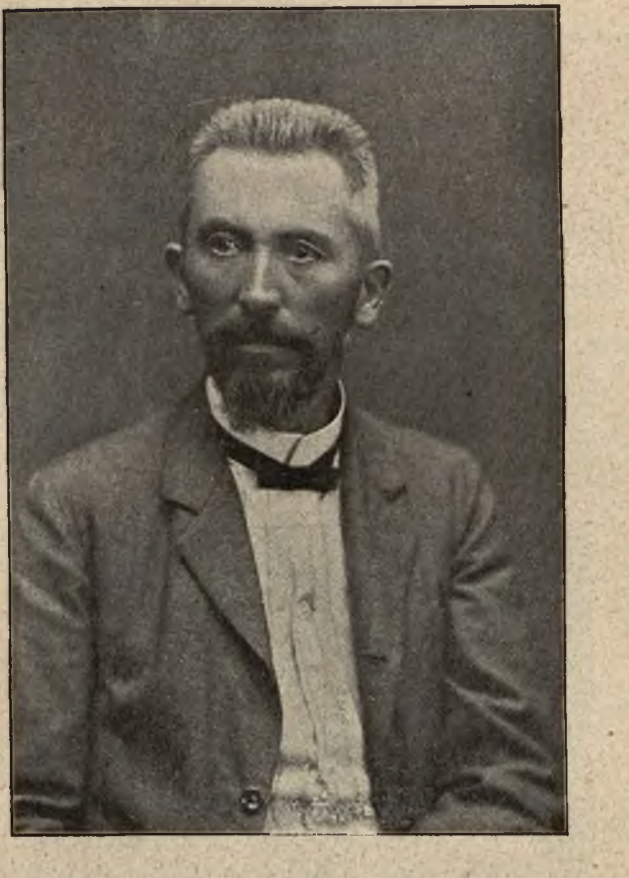
Po za obradami nad poruszonymi w kilku referatach kwestyami, urządzili uczestnicy zjazdu kilka pouczających wycieczek, celem zwiedzenia pięknych zabytków sztuki, których w okolicy Krakowa jest tak wiele, a które właśnie wymagają starannej i gorliwej opieki ze strony społeczeństwa.

Zgon byłej królowej.

(Do illustracyi na str. 3).

Nadeszła niedawno wiadomość, iż w Turynie we Włoszech zmarła sędziwa królowa babka portugalska, Marya Pia, wdowa po zmarłym 1889 r. królu portugalskim Ludwiku, matka zamordowanego Karola I. a babka wygnanego przez rząd republikański króla Manuela II.

Królowa Marya Pia, księżniczka sabaudzka, urodziła się 1847 a w 1862 r. wyszła za króla portugalskiego. Losy królowej Maryi Pii, zwłaszcza w ostatnich latach, były bardzo smutne. Patrzała na upadek powagi władzy królewskiej w Portugalii, patrzała na wzrastający ruch republikański, patrzała na śmierć syna swego na ulicach Lizbony, zamordowanego przez rewolucyonistów, nakoniec zaś z jego



Nowi rektorowie we Lwowie: Tadeusz Fiedler, nowy rektor politechniki.

następcą a swoim wnukiem Manuelem musiała kraj opuścić i ostatnie lata swego swego życia spędzić na wygnaniu.

Goście z Kaukazu w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 2).

W okresie wakacyjnym urządzają wychowanko wie rozmaitych zakładów naukowe wycieczki w rozmaite okolice, aby je zwiedzić dokładnie i poznać ich urządzenia, zwyczaje i obyczaje. W miarę zasobów są one i dłuższe i dalsze; nie każdy jednak zakład może sobie pozwolić na tego rodzaju wycieczkę po całej prawie Europie, jaką urządzili uczniowie wyższego gimnazyum imienia Wielkiego Księcia Michała w Batum na Kaukazie.

Pod kierownictwem profesora Macheba wybrali się młodzi ludzie na wycieczkę naukową, którą skierowali przez Rumunię, Bułgaryę, Serbię, Węgry Austryę i Niemcy, przyjmowani wszędzie serdecznie i podejmowani gościnnie. W czasie pobytu na terytoryum węgierskiem, zostawała wycieczka pod protektoratem królewskiego ministerstwa wyznań i oświaty. Przez Kiskörös udano się do Budapesztu, stąd zaś po zwiedzeniu osobliwości miasta i okolicy podążono do słynnego miejsca kąpielowego Trencsen-Teplicz.

Dyrekcya Zakładu kąpielowego zajęła się przyjęciem i pomieszczeniem gości, którzy z prawdziwym zachwytem oglądali monumentalne budowle zakładowe i przedsięwzięli kilka wycieczek w najpiękniejsze okolice. Zwiedzono także nowowzniesiony budynek dla zabaw i gier sportowych, w których goście wzięli udział i gdzie też dokonano fotografii, zamieszczonej w niniejszym numerze.

Wieczorem odbył się w salach zakładu kąpielowego uroczysty bankiet na cześć przybyszów, którzy następnego dnia udali się w dalszą podróż w kierunku Berna, stąd zaś do Galicyi i Krakowa, gdzie również zatrzymali się kilka dni.

Z półek księgarskich.

Przeglądu zdrojowo-kąpielowego i Przewodnika turystycznego Nr. 5, zawierający opis wycieczki naukowej Bratniej Pomocy Medyków Uniw. Jagiell. po zdrojowiskach galicyjskich, opracowany przez uczestników i opatrzony cennemi uwagami Prof. hygieny Uniwersytetu Jagiell. Bujwida wyszedł mimo podwójnej objętości także i w znacznie zwiększonym nakładzie.

Komitet redakcyjny ustanowił dla chcących nabyć ten zajmujący opis, zawierający wiadomości i informacye o najważniejszych naszych zdrojowiskach, zebrane na miejscu, cenę 50 hal. za egzemplarz — Wysyłkę i sprzedaż pojedynczych numerów uskutecznia jedynie Biuro wydawnictwa Pol. Tow. Baln. Kraków Batorego 1 codziennie od 3 do 7 popołudniu.

Głosy publiczne.

Piąty Zjazd prawników i ekonomistów polskich we Lwowie. Komitet powołany do urządzenia we Lwowie w r. 1911 piątego zjazdu prawników i ekonomistów polskich ustalił program prac Zjazdu, w porozumieniu z komitetami lokalnymi w Krakowie, Poznaniu i Warszawie, na czele których stoją w Krakowie prof. Uniw. Jagiell. Xawery Fierich, w Warszawie mecenas Adolf Suligowski, w Poznaniu właściciel domu bankowego Dr. Pernaczyński. Spis tematów na zjazd przyjętych przesłano tym wszystkim osobistościom, które sprawami naukowemi w dziedzinie umiejętności prawa i ekonomii społecznej w Polsce się zajmują.

Liczne zgłoszenia już napływają.

Wobec tego, że nie wszystkie tematy, wybrane przez komitet znalazły referentów, ponadto wobec faktu, iż stosunkowo małą ilość referatów zgłoszono z Galicyi, przypomina Komitet, że czas okresu do nadsyłania referatów do druku upływa dnia 31 lipca b. r.

Wszelkie pisma do Komitetu przesyłać należy pod adresem: Jan Jordan Lwów, Uniwersytet.



Miłośnicy zabytków sztuki: Grono uczestników zjazdu w czasie wycieczki w Tenczynku.

Ze świata kobiecego.

Kilka filozoficznych uwag z racyi dzisiejszej mody.

Obcisłe suknie dzisiejszej mody nie pozwalają na wszycie kieszeni, w której umieszczona choćby najmniejsza chusteczka, tworzyłaby nieładną wypukłość, stąd geneza woreczków, torebek i najróżnorodniejszych „ritikuli“ damskich. Dało to okazyę Henrykowi Maret do ułożenia złośliwego aforyzmu: „Kobieta dzisiejsza nie wie, co ma zrobić z chustką do nosa, skąd ma przeto wiedzieć, co ma zrobić z dzieckiem“.

Bez kwestyi otwiera się tu pole do popisu złośliwości; moglibyśmy przeto powiedzieć: Kobieta dzisiejsza w braku dawnej małej kieszeni, zawiesza ogromną torbę. Z małej kieszeni bywały małe wydatki, z dużej torby — wielkie. Suknia dzisiejsza niema dość miejsca na kieszeń, kobieta dzisiejsza ma coraz mniej miejsca na dziecko. Kobieta dawniejsza chełpiła się, że nosi małe dzieciątko pod sercem,



Bluzka z bawełny robionej szydełkowo w stylu irlandois.

kobieta dzisiejsza chełpi się, gdy nosi wielkiego kochanka w sercu.

Kieszeń dawniejsza siedziała skromnie w bocznym brycie sukni, torba dzisiejsza zajmuje miejsce „poczytne“ i... bije właścicielkę po nogach!

Kieszeń dawniejsza z bawełnianego, lichego materyału, dźwigała płócienną chustkę, różaniec i kluczyki gospodarskie. Torba dzisiejsza, z kosztownej skóry, jedwabiu lub złotogłowiu nosi koronkową chusteczkę, pudełeczko z pudrem i lusterko.

Kochanek dawniejszy (równie zapalny, przewrotny i niestały jak dzisiejszy) siedział cicho, zdradzał przyjaciela wśród najgłębszych cieni nocy i wyłgiwał się rozpaczliwie, gdy go ktoś o powodzenie u danej damy podejrzywał. Kochanek dzisiejszy chełpi się i popisuje powodzeniem i doznanemi łaskami, a mąż wraca do roli kieszeni, rad, że pomimo to on bliższy jest... koszuli niż... torba. Boć kobieta do kieszeni może sięgać za każdym razem bez najmniejszej fatygi, do torby musi się zniżyć.

Suknie dzisiejsze formą *directoire* ze stanem niemal pod pachą, z niezmiernie drogich materyi, są bez kwestyi ponad stan kobiety.

Kobieta dzisiejsza, garnirując główkę mnóstwem loków, nie może mieć czasu na garnirowanie jej wewnątrz.

Kapelusze dzisiejsze wszystkich stylów, nie mają żadnego. Kobiety dzisiejsze, wszechwiedzące i wszystkich zasad — nie mają żadnej.

Matka dawniejsza, oczekująca macierzyństwa, przestawała pokazywać się światu, bo dziecię potrzebuje spokoju i skupienia; dzisiejsza — bo suknia coraz obszerniejsza, przestaje być modną.

Kobieta dawniejsza przywdziewała szarawary, gdy wszystkie środki obrony od nieprzyjaciela zostały wyczerpane i ona musiała stanąć do walki. Dzisiejsza kobieta przywdziała *culoty*, gdy środki kuszenia zostały wyczerpane i spróbowała heroicznego środka — rozprucia sukni pośrodku.



Toaleta weselna. Na morelowym szkicu tiul *ivoir*, haftowany perłami i białym jedwabiem.

Ale dosyć tego sarkazmu. Szanowne czytelniczki gotowe pomyśleć, że *Nowości* nie dosyć płacą autorce, aby miała na modne toalety, a ta ze złości na swe staroświeckie szaty, plwa żółcią na nowomodne.

Tak nie jest. Tylko szkoda, że kobiety dzisiejsze coraz więcej poświęcają wygody dla mody.

Tu i owdzie jednak zaczynają pokazywać się rzeczy modne a niezmiernie praktyczne. Do takich zaliczam płaszcze z jedwabiu nieprzemakalnego, tak lekkie, że nie ważą więcej niż płócienna bluzka, tak cieniutkie, że dadzą się zwinąć i włożyć do modnej torby. Do praktycznych rzeczy również zaliczam kapelusze formy dzwoniastej z surowego jedwabiu, fularu i łyczkowej maty. Przybrane opasaniem z jedwabiu w kratkę, lub pletnią łyczkową, tworzą ubranie głowy ładne, eleganckie, każdej kobiecie „do twarzy“ i niezmiernie praktyczne. Spotka je deszcz na wycieczce — wysuszone przez równe położenie, bez żadnego ucisku — wrócą do pierwotnej formy. Zbrudzone — dadzą się wyczyścić szczoteczką i wodą z mydłem. Przytem, szczególniej wielkie z japońskiego łyczka, dają możność obycia się bez parasolki na spacerach, wybornie bowiem twarz ocieniają.

Dalej niezmiernie praktyczne są pewne typy gorsetów najostatniejszego wyrobu. Przedewszystkiem więc tak zwane *ceinture maillor* (pasek-powijak). Robią się one z materyału elastycznego ażurowego, tkane na miarę, bez fiszbinów i bryklí, lekkie, giętkie, obejmują figurę przyjemnie, nie przeszkadzają przy siadaniu i schylaniu się, słowem są pierwszym typem gorsetu rzeczywiście praktycznego, hygienicznego i nie mijającego się z przeznaczeniem, bo utrzymującego piękność kształtów.

Wreszcie niezmiernie praktyczną jest moda zastępowania bielizny przez jedwabny trykot lekki i miękki, stanowiący niejako futerał całego ciała. Szczególniej w podróży i przy wycieczkach w góry



Bluzka z niebieskiej tafty, pokryta białym tiulem haftowanym Złote guzy i szeroki pas aksamitny.

oddaje on nieobliczone usługi, a jako jedwabny i obciskający ciało jest też w wysokim stopniu hygienicznym, chroniącym od niejednej choroby i zarażenia.

Zatem nie sarkajmy na dzisiejszą modę; umie ona być i praktyczną i ładną, tylko wśród tysiąca form i typów trzeba umieć wybrać to, co ładne i odpowiednie.

Ramo.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

Szarada: Cierpienie

Łamigłówka:

Fea
Oko
Guz
Ara
Zan
Zet
Aar
Ren
Osa
Mor
Aga
Las
Oka
Muł
Bat
Ryk
Ali

Trójkąt magiczny:

H a m s u n
A p a g e
M e t a
S k i
U l
N

Zadanie do przestawienia: Co głowa, to rozum.

Zagadka: Teka.

Logogryf:

H a m u l e c
E u t e r p e
L e m i e s z
E p o p e j a
N i c e f o r
A t l a n t y

Szarada: Wanilja.

Łamigłówka:

Lew
yak
dąb
oko
bór
gzy
don
oda
cap
ona
mur
nil
aga
men
nie
noc
łut
ufa

Zadanie do przestawienia: Dwie sroki za ogon trzyma.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, H. Piątek Podwołoczyska, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Poronin, D Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Podgórze, M. Wojkowski Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, K. Radoszewski Rzeszów, J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, W. Swirski Sandomierz, K. Bandrowski Warszawa, J. Kwaśniewski Piotrków, O. Gliński Kołomyja, S. Balicki Stanisławów, C. Wang Rzeszów, J Jaworski Kijów, S. Bukowski Równe, H. Maciejowska Winnica, M. Więckowska Warszawa, J Wilczkiewicz Sambor. H. Ohrenstein Czerniowce, L. Lindenbaum Czerniowce, J. Wolny Warszawa, S Mazur Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J Lewicki Kołomyja, H. Grzybczyk Lwów, J. Wankowicz Mińsk, K. Kaim Kraków, J. Łopatkiewicz Kraków, R Stolarski Podgórze, J. Pick Warszawa, H Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok, M. Medyńska Zakopane, T Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, J. Wilkosz Rzeszów, H Ungar Lwów, M Kobyłecka Stanisławów, S. Kozicki Kołomyja. K. Wiewiórowski Janów, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, J Skalski Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Lemiszewski Żółkiew, J Gramski Tarnów, M. Bróż Sanok, J Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice, H. Figiel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim. S. Domagalski Kraków. W. Raczyńska Sanok, J Nowacki Śniatyn, M Pytel Kraków, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, L Sobieniowski Warszawa, Z Radzimiński Lwów, M. Münz Stryj, W. Thun Płock, S Kalinowska Podłęże, R Linderski Siemiechów, S. Hubaczek Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, K. Kinn Kraków, M. Krawecka Kraków. J. Darowski Petersburg, J. Sperling Wiedeń, M. Kalicińska Sambor, J. Krzywoszewski Jasło, R. Reichenberg Cieszyn, S Gross Sanok. J Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, K. Fuchs Czeremchów. S Karczmarski Poddębie, J Niemojewski Zakopane, L. Cisowski Kraków, D. Misiągiewicz Tarnopol, J. Kos Piotrków, K. Karpiński Gorlice, L Zimet Jasło, S. Kowalówka Kraków.

Nagrodę przez losowanio otrzymała p H. **Grzybczyk, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Obraz „Z e g a r C h r z e ś c i a n i n a", olejny druk. Nakład Księgarni „Dziennika Kujawskiego" właśc K. Rąfowski, Inowrocław (Hohensalza Prov Posen) Cena z przesyłką w rolce 95 fen., (kor. 1 20 hal.)

„Zegar Chrześcianina" — śliczny w 12 kolorach wykonany obraz (olejny druk) wydał świeżo rodak p. K. Rąfowski, właściciel księgarni „Dziennika Kujawskiego" w Inowrocławiu. Obraz ten przedstawia nam tarczę zegarową, podzieloną na 24 godziny, to jest rano, południe i noc. W pośrodku tarczy Matka Boska bolejąca pod krzyżem z Panem Jezusem na łonie i dwoje aniołów usługujących. Wokoło zaś na każdą godzinę jest przypomnienie, co Pan Jezus onej godziny cierpiał, a uwidocznia to stosowny obrazek, których jest również 24 w okół. Postacie wyobrażające Wiarę, Nadzieję i Miłość oraz aniołowie z tablicami, na których widnieją wzniosłe modlitewki wierszowane, dopełniają całości obrazu.

Galicya. Miesięcznik, poświęcony sprawom ekonomicznym i kulturalnym Galicyi i Bukowiny rozpoczął wychodzić z dniem 1. lipca b r. we Lwowie pod redakcyą Bronisława Braitera. Założono go w tym celu, ażeby społeczeństwo polskie zapoznać ze stanem ekonomicznym, historycznym, finansowym, duchowym i etnograficznym kraju, zamieszkanego przez ośm milionów ludności, ażeby zapoznać to społeczeństwo z bogactwami, ukrytemi w ziemi, z pomnikami naszej kultury i matryrologii narodowej

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, plac Strzelecki L. 6

Treść nru 1.: Od wydawnictwa. Lwów w ostatniem czterdziestoleciu Towarzystwo muzyczne Harmonia. Cerkiew wołoska i jej powstanie. Z Bukowiny. Z naszych niw. Dział dotyczący ściśle interesów gminy. „82.325". Nieco o urzędowej manipulacyi.

NADESŁANE.

PARYSKIE GADY.

65

— Najstarszy z tych panów, gdy się o tem dowiedział, chciał iść do chłopca, by go wybadać... Musieliśmy go tam zanieść. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyliśmy u niego, była elegancka para trzewików, stojąca pośrodku pokoju. Pański towarzysz zadał chłopcu kilka pytań, potem rozmawiał pocichu z doktorem, który miał minę bardzo zdziwioną i przerażoną. Skończyło się na tem, że doktor zabrał trzewiki i szybko z nimi wyszedł... Wkrótce jednak powrócił i oznajmił: „Całe szczęście, że nasz aptekarz ma porządne laboratoryum. Z łatwością zbadaliśmy truciznę a oto antidotum na nią". W kwadrans potem czterej otruci czuli się już lepiej.

Panajon powstrzymywał się, by nie wybuchnąć przed końcem opowiadania.

— Ach! kanalia! — zawołał, gdy Burley skończył.

— Duret? — zapytała Ewa.

— Naturalnie! Nie domyślasz się jego sprawki?

— Nie.

— Trzewiki nasze stały przez noc na korytarzu, skorzystał z tego prezes i wsypał do nich jakiejś trucizny...

— Oh! — zdumiała się Ewa.

— Nie zauważyliśmy nic, ani wkładając je, ani przez pierwsze godziny. Trucizna była sucha i nie działała. Lecz gdyśmy udali się w góry, nogi zaczęły się od forsownego marszu pocić, trucizna zwilgotniała i przedostała się do krwi przez skórę.

— Lecz ja nic nie odczułam...

— Nic dziwnego! I ja również. Mieliśmy nowe trzewiki.

— To prawda!

— Ze sklepu odesłano stare do hotelu... Chłopiec chciał w nich udawać eleganta i ubrał się w nie... Spotkał go też los, którego ja szczęśliwie uniknąłem...

Palmer i Burley nie stracili z tego ani jednego słowa.

— I to ten Duret, jak go państwo nazywają, urządził ten zamach? — zapytał Palmer.

— Duret, to ten wysoki mężczyzna, którego tak przestraszyliśmy się w nocy i którego panowie ścigali? — rzekł Burley.

— Tak — odpowiedział Panajon. — A panowie przeszkodzili mi go schwytać.

Ewa milczała. Przygotowana była już na wszystko ze strony prezesa, zdumiona jednak została tem, co teraz usłyszała.

— To ładny numer! — odezwał się znowu Palmer.

— Oh, tak! — odrzekł Panajon. — Ci starzy, zacni panowie gdy wezmą się do roboty, prędko zdystansują zawodowych przestępców. Zupełnie tak jak światowe kobiety, gdy zejdą z drogi cnoty... uspokojenie swych zmysłów znajdują dopiero w orgii.

Obydwaj Anglicy uwagi te potwierdzali ruchem głowy.

— Ale — przeszedł do innego tematu Panajon — wziąłem się do konferencyi psychologicznej, nie spostrzegając, że położenie moje obecne nie jest godne uczonego... Czy długo tak panowie będą mnie trzymali?

— Dopóki nie dojdziemy do porozumienia — odpowiedział Palmer.

— Proszę rozluźnić mi trochę więzów... Sznury wpijają mi się w ciało.

— Niech pan podpisze sześć czeków, każdy na czterdzieści tysięcy dolarów, a wtedy będziemy mieli tylko oko na pana, dopóki pieniądze nie znajdą się w naszem posiadaniu.

— Nie mam książeczki czekowej.

— Niech pan napisze do swych bankierów...

Panajon namyślał się przez chwilę, potem rzekł:

— Jest to warunek niezbędny?... Inaczej mnie panowie nie uwolnią?...

— Dopóki będzie się pan opierał...

— I pani również nie oswobodzą panowie?

— Nie.

— Proszę więc o papier i pióro...

— *All right!* — odpowiedzieli radośnie obydwaj Anglicy.

Jeden z nich wyjął z kieszeni papier listowy i pióro wieczne, drugi zaś rozwiązywał sznury, krępujące nogi i ręce więźnia. Wkrótce Panajon mógł wyprostować swe zdrętwiałe ciało.

Podczas gdy Burley zdejmował z niego ostatnie więzy, Palmer położył przed nim pióro i papier i stanął z wycelowanym rewolwerem, by odjąć mu wszelką ochotę do ucieczki.

Panajon zaczął przeciągać się, odbywając ćwiczenia szwedzkiej gimnastyki.

— *Well!* — rzekł Burley. — Niech pan pisze!

Więzień nie spieszył się.

— Milion... — rzekł. — Milion... to dużo. Porozumiejmy się! Coby tak panowie powiedzieli na dwadzieścia pięć luidorów?

Anglicy oburzyli się.

— Dodam jeszcze pięć — mówił dalej Panajon. — Ale nie żądajcie ani grosza więcej.

Palmer i Burley poczerwienieli z gniewu.

— Wiąż go! — zawołał Palmer do swego towarzysza.

I Burley zaczął wiązać znowu Panajona, który leżał nieruchomo, mając przed swemi oczami wycelowany rewolwer.

— Wiąż mocno! — zalecał Palmer.

— Bądź spokojny!

W trzy minuty potem Panajon był znowu skrępowany od stóp do głowy.

Złodzieje zabrali mu kamień z pod głowy, który miał mu służyć za poduszkę i wyszli z lepianki, zamykając za sobą spróchniałe drzwi.

Więzień nie szepnął ani jednego słowa.

— Dlaczego zadrwiłeś z nich? — zapytała pocichu Ewa. — Teraz są wściekli na ciebie.

— Ale za to ja jestem wolny — odrzekł Panajon.

— Wolny?

— Mogę przynajmniej przejść się wśród tych czterech ścian.

— Ale przecież jesteś jeszcze silniej związany niż przedtem!

— Mylisz się, moje dziecko! Gdy mnie wiązano pierwszy raz, byłem zemdlony i bez ruchu. Teraz zaś mogłem przy wiązaniu naprężyć muskuły i wydąć pierś. Wydaje mi się obecnie, że te sznury zwisają wprost ze mnie... Pokręcę się trochę i spadną na ziemię.

— Tak myślisz?

— Czyś nigdy nie widziała akrobatów, jak się oswabadzają z więzów?

— Rzeczywiście... robią tak...

— Jest to bardzo pospolita sztuczka! Ale teraz cicho! Pozwól mi namyśleć się, w jaki sposób mam najlepiej skorzystać z mej swobody.

— Uciekaj!

— Którędy?... Palmer i Burley pilnują drzwi... Są oni dobrze uzbrojeni... a ja nie mam przy sobie nawet kozika.

— Wyjdź na mur i uciekaj drugą stroną.

— A ty? Także wejdziesz na mur?

— Nie zajmuj się mną.

— Koza! Będę uciekał bez ciebie! Ładny pomysł! Nawet z moją pomocą nie wdrapiesz się tak łatwo na mur. A przytem... a przytem... ten sposób nie przemawia mi do przekonania. Powtarzam ci, że muszę się namyślić! Zadanie jest trudne i nie łatwo je rozwiązać... Cicho!

Panajon zaczął rozglądać się dokoła. Szukał natchnienia.

Wzrok jego zatrzymał się na murze, za którym słychać było szept Palmera i Burleya. Siedzieli oni oparci o ścianę i palili fajkę. Zapach tytoniu angielskiego łączył się z aromatem górskich roślin.

Panajon spostrzegł nagle, iż na dole w murze brak jednego kamienia. W otworze powstałym z tego powodu sterczała sucha paproć.

— Ach! — szepnął złodziej. — Gdybym ja miał...

Nie dokończył. Brwi jego zmarszczyły się na chwilę.

— Gdybym ja miał — powtórzył. — Gdybym ja miał... Lecz ja mam coś lepszego.

Zaczął się kręcić na miejscu, tarzać po ziemi, aż spadły z niego wiążące go sznury.

— Tyś cudowny... — zaczęła Ewa w uniesieniu. — Jesteś...

— Pst! Pst!

Panajon schwycił walizkę, podbiegł z nią do otworu w murze i zaczął wyrzucać z niej całe masy kołnierzyków, mankietów i półkoszulków, wpychając to wszystko do tej dziury w ścianie. Ruchy jego były nadzwyczaj szybkie; czynił to, nie wydając najmniejszego szmeru. W kilka sekund cała zawartość walizy została wciśnięta w stary mur. W kilka następnych sekund Panajon zakrył ten otwór jednym z największych kamieni, na jakich siedział przedtem Palmer.

Ewa patrzyła na to wszystko, nie domyślając się, co z tego wyniknie.

Panajon podszedł do niej, wziął ją za ręce i przeniósł w przeciwny róg lepianki.

Poczem powrócił zaraz do ściany, za którą siedzieli Anglicy. W ręku trzymał pudełko zapałek. Zapalił jedną i gdy się zajęła płomieniem, wsunął ją pomiędzy kamienie w środek zapchanej do otworu bielizny i natychmiast odskoczył. Jednocześnie prawie z muru przedarło się kilka ognistych języków, rozległ się straszny huk i stara ściana runęła z łoskotem. Ewa krzyknęła z przerażeniem, na co odpowiedział Panajon okrzykiem pełnym tryumfu. Wszystko zniknęło im z oczu w gęstej mgle dymu i kurzu.

Po omacku dotarł Panajon do gruzów, z pod których dobywały się jęki.

Wreszcie kurz opadł. Palmer i Burley leżeli na pół zasypani. Panajon, gdy się upewnił co do nich, pobiegł rozwiązać Ewę. Potem poszli oboje na pomoc swym przewodnikom.

— I cóż, gentlemenie? — zapytał mniemany miliarder, odsuwając na bok kawał ściany, która przygniatała Palmera. — *How do you do?*

Anglik odpowiedział na to bolesnym jękiem.

— Przeklęty dzień! — klął Burley, który miał tylko stłuczoną nogę, podczas, gdy jego towarzysz odniósł kilka poważnych uszkodzeń. — Przeklęta ta noc i dzień! Jak się pan uwolnił?

— Tak łatwo, iż szkoda nawet o tem mówić — odpowiedział Panajon. — Lecz w jaki sposób sprowadziłem ten wybuch? Ach! *That is the question!*

— Tak... Jak? — szepnął, jęcząc Palmer.

Panajon przy pomocy Ewy wydobywał z pod gruzów swych przewodników i tłómaczył:

— Ciekawi są panowie, skąd wziąłem prochu, chociaż nie zostawiliście mi ani jednego naboju? A moja bielizna, gentlemeni? Moja bielizna? Nie przyszła wam ona na myśl?...

— Pańska bielizna? — zdziwił się Burley.

— Tak, tak, moja bielizna — powtórzył Panajon. — Jest ona z celuloidu, prawda?... *Well!* a celuloid już nieraz dał dowody swych własności wybuchowych.. Nie zajmując się wcale pyrotechniką, można doskonale wiedzieć, że ten produkt, tak napozór nieszkodliwy, wytwarza się z kamfory... z kamfory, która służy do fabrykacyi prochu bez dymu... ze spirytusu i bawełny strzelniczej. Tak, gentlemeni,

to jest jedyna recepta, której wynalascą mógłby być nawet sam szatan, na wyrabianie bielizny amerykańskiej, tanich grzebieni, szpilek do włosów i innych drobiazgów.

Panajon skończył wyjaśnienia i jednocześnie zdjął z Burleya ostatni kamień.

— A teraz — dodał — oczyszczą się panowie i udadzą do szpitala, a po kilku tygodniach zapomną o swej niemiłej, co prawda, przygodzie. Do widzenia, gentlemeni! Pozostawiam panom osła i walizę z zapasami spożywczymi. Zdaje mi się, że jestem uprzejmy?... *All right!*... Chodź, Ewo...

Wziął pod rękę swą przyjaciółkę i ruszył z nią w drogę. Po kilku jednak krokach zatrzymał się i obrócił się ku dwom Anglikom, którzy siedzieli na ziemi i nie przestawali jęczeć.

— Nie macie panowie czego żałować — rzekł im. — Powtarzam panom, że nie jestem miliarderem... Wzięliście cień za rzecz. Miliarder, to ten stary jegomość w zniszczonem ubraniu, który powrócił do Hendaye... A ja jestem tylko Ernest Panajon, znany operator kieszonkowy... Jeżeli panowie jeszcze wątpią o tem, proszę zajrzeć do swych kieszeni..

Po tem pożegnaniu Panajon, trzymając Ewę pod rękę. puścił się w powrotną drogę do Hendaye.

Oby dwaj Auglicy wsunęli ręce do swych kieszeni i znaleźli je puste. Fałszywy Harris opróżnił je tak, iż wcale tego nie spostrzegli.

XVIII.

Późno w nocy Ewa wraz z swym towarzyszem dotarła do Hendaye. Piękna prasowaczka znużona była nietylko drogą lecz i przebytemi wrażeniami. Panajon również odczuwał zmęczenie a przytem wracał zawstydzony, iż Duret uszedł jego pogoni.

Miliarder, gdy zobaczył Panajona bez prezesa, zmarszczył tylko brwi. Joe Smith zaczął kręcić się niespokojnie w łóżku. A Piotr chciał odrazu zerwać się na nogi.

Panajon zaczął tłómaczyć się. Opowiedział wszystkie swe przygody i tak zakończył:

— Duret wyprzedził mnie na kilka godzin drogi.. Słońce już zachodziło... Nie mogłem myśleć nawet o szukaniu jego śladów. Musieliśmy oświecać sobie powrotną drogę suchemi gałęziami i mimo to groziło nam nieraz skręcenie karku w przepaści.

Po zdaniu relacyi o swej niefortunnej misyi Panajon wraz z Ewą poszedł odwiedzić Ludwikę, która zajmowała pokój w hotelu pod opieką dwóch infirmierek z miejscowego sanatoryum a potem udali się na spoczynek.

Na drugi dzień złodziej wczesnym rankiem znalazł się na nogach, piękna prasowaczka jednak pozostała w łóżku. Była najkompletniej wyczerpana i fizycznie i moralnie. Również i Lewis Jackson, Smith i Piotr nie wstawali z łóżka, ponieważ lekarz zalecił im najzupełniejszy spokój. Dzięki energii, z jaką się wzięto do leczenia, objawy otrucia zniknęły, pozostało jednak jeszcze wielkie osłabienie.

Miliarder, chociaż leżał w łóżku, nie przestawał być czynnym. Zatelefonował naprzód do swego pałacu, iż spotkali Ludwikę. W dwanaście godzin potem przyjechała Kamilla. Potem zatelegrafował do Maurycego, by przyjechał zabrać obie panny. Powinny one były wrócić do Paryża, a w czasie tej dość długiej podróży obecność inżyniera będzie im bardzo pomocna.

Panajon, który chwilowo zastępował jak umiał Jego Smitha przy businessmanie, zauważył:

— Co pomyśli Wiktor Cartelegue, gdy zobaczy, że główny jego inżynier jedzie w ślad za jego synem?... Tembardziej będzie niespokojny, iż o niczem go nie poinformowano...

— Nie — odparł Lewis Jackson. — On wie, iż syn jego po przybyciu do Ameryki rozmawiał ze mną o fabryce samochodów. Będzie sądził, iż jestem tu na willegiaturze i chcę porozmawiać z Terradem w tej sprawie.

Telefonował także Panajon w imieniu miliardera do głównych paryskich agencyi policyi prywatnej. Wysłały one natychmiast swych najlepszych ajentów. Wkrótce złodziej miał do swej dyspozycyi dwudziestu detektywów. Zebrał ich w salonie hotelowym i po zamknięciu drzwi taką wygłosił do nich przemowę:

— Wiedzą już panowie, o co chodzi... Pewien jegomość, którego chciałbym mieć w swych rękach, wymknął mi się w górach o kilka stąd kilometrów... stało się to przed czterdziestu ośmiu mniej więcej godzinami. Oto dla każdego z panów mapa tej części Pirenei. Czerwonym krzyżem naznaczyłem miejsce, w którem ten jegomość znikł mi z oczu. Tutaj każdy z panów ma szczegółowy jego rysopis. A oto czterdzieści tysięcy franków do podziału między was... Pieniądze te mają służyć na pokrycie pierwszych wydatków. Proszę nie oszczędzać. Co zaś do zapłaty, to zostało umówione z waszymi szefami, iż będziemy płacili wam po luidorze za dzień, czy tak?...

— Tak... tak... — odpowiedzieli detektywi.

— Po namyśle postanowiliśmy dać wam po dwa luidory.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą imię i nazwisko współczesnej polskiej artystki dramatycznej.

— — □
— — □ —
— — □ —
— — □ — — —
— — □ — —
— — □ —
— — □
— — □ —
— — □ — —
— — □ — — —
— — □ — —
— — □ —
— — □
— — □ —
— — □ — —
— — □ — — —
— — □ — —
— — □ —
— — □

Znaczenie wyrazów: 1. Wykrzyknik. 2. Rodzaj trąbowca 3. Utwor J. Łuszczewskiej. 4. Imię męskie. 5 Utwór A Malczewskiego 6. Postać mityczna grecka. 7. Dokoment urzędowy. 8. Ubiór salonowy. 9. Miasto na Litwie. 10. Miejsce urodzenia króla J. Sobieskiego. 11 Wyspa w zatoce perskiej. 12 Bogini opiekująca się nauką i sztuką 13 Pamiętnikarz. 14 Zwierzę domowe 15 Fałszywy blask. 16. Malarz polski 17 Pierwiastek chemiczny 18. Inaczej dzida. 19. Staropolska nazwa artrytyzmu

Zadanie do przestawienia.

Ułożył L. P. S. Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

W ó z, g ę b a l, c z a r, c h a t a, l a t o, l a s, k i r, ł a n y, h

Łamigłówka.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa

Podane niżej wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby rząd środkowy utworzył imię i nazwisko znakomitego polskiego architekta.

— on
al —
— da
jo —
— ko
li —
— or
er —
— os
cł —
— ir
ba —
— oc
sk —

Logogryf.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Litery odpowiednio uporządkowane utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko znakomitego współczesnego wynalazcy.

a
a a a
a a a a a
a a b b c c d
d e e e g
h i i i i i k
k k l ł ł m n n n
n n n n ń o o
o o o r r
s s s
s t t t u
w w y y y z z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Ptak śpiewający. 3. Imię męskie. 4. Odzienie. 5 Jenerał francuski. 6 Przeciąg czasu 7. Ryba. 8. Imię żeńskie zdrobniałe. 9. Państwo w Azyi. 10. Owad 11. Część ciała. 12. Owoce południowe.

Logogryf.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył tytuł utworu ś. p Gawalewicza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — — — □ — — — — — —
— — — — — — — □ — — — — — — —
— — — — — — □ — — — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Zabawa. 3. Rzeka w Królestwie Polskiem 4 Oddział wojska. 5 Kompozytor polski. 6. Uczeń wyższej szkoły. 7. Dwa miasta gubernialne w Rosyi. 8 Utwór Konopnickiej. 9. Sport. 10. Rodzaj poezyi opisowej 11. Inaczej generacya 12. Awiator francuski. 13. Sprzęt. 14. Rzeka. 15. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Ł a w k a, c, b ó l, Z a n, l, r o t a, h a l a, g i r y, t ę, s z a c h.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Staś idzie Renem łowić raje.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *St. Karwowskiego:* **Komandorya i kościół św. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego.